Nr. 32. Kraków, grudzień 1910 r. Rok III.

STRAŻ POLSKA

wspólny organ stowarzyszeń: „Straż Polska“ w Krakowie i „Polska Liga Narodowa“ we Lwowie.

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata „Straży Polskiej“ na rok 1910 wynosi **3 kor.** — dla członków „Straży Polskiej“ i „Ligi“ **2 kor.** (z przesyłką pocztową). Numer pojedynczy **30 hal.**

Adres Redakcyi: **Kraków, Rynek główny L. 39.**

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Adres Administracyi: **Kraków, ul. Floryańska L. 1.**

„Patrjotyzm czynu“.

Kurjer poznański skarży się na bierność inteligencji wielkopolskiej, która grzęźnie coraz więcej w materjaliźmie i coraz mniej się garnie do pracy publicznej:

„Gdzie są widoki — pisze — na korzyści materjalne, tam pracowników rzadko kiedy brak. Stąd cieszą się nasze wysiłki zbiorowe na niwie gospodarczej stosunkowo wielkiem powodzeniem. Inaczej niestety wygląda z pracą czysto idealną: tę pozostawia się „idealistom“; jeśli im „się chce“ poświęcać się, niechaj to czynią — to niewątpliwie pochwały godne, ale nie każdy jest do tego „powołanym“. W ten sposób uspakaja swe sumienie jeden po drugim; przechodzą mimo, stają na uboczu bezczynnie, pozostawiając „idealistów“ ich losowi — razem ze społeczeństwem.

„A los ten bywa wskutek tego nieraz niewesoły. Jeden człowiek pracuje za dziesięciu; idzie tu, idzie tam, z zebrania na zebranie, z narady na naradę; przepracowuje się, i w rezultacie zniechęca. I to, zniechęca się nietylko dlatego, że mu osobiście nic z życia nie pozostaje, bo z tą myślą można się podobno „oswoić“ — z człowieka robi się maszyna do pracy, nieczuła na takie drobnostki, jak głos wewnętrznego ja. Ale to przekształcenie się człowieka w maszynę do pracy jest niebezpieczne dla pracy samej i jej wyników: w pracy tej tkwi mniej żywotności i twórczości, mniej indywidualności i oryginalności, mniej zapału i bogactwa myśli; staje się ona szablonową, rzemieślniczą, suchą i martwą“.

Tak dzieje się w Poznańskiem.

Posłuchajmy teraz jak dzieje się w Królestwie. Oto co pisze *Kurjer warszawski*: „Trudno zamykać oczy na fakt oczywisty, że z każdym dniem dzieje się gorzej. Niewątpliwie jest to dość naturalny objaw reakcji psychicznej po gorączkowych dniach rewolucji, ale ten stan bierności i apatji trwa już trochę za długo i może zamienić się w chorobę chroniczną. Niema prawie stowarzyszenia lub instytucyi publicznej o celach idealnych, któreby nie skarżyły się na brak rąk do bezinteresownej roboty. I u nas wytworzył się już typ „ludzi do wszystkiego“, na których barki składa się olbrzymie ciężary obowiązków publicznych, którzy wszędzie są i wszędzie być muszą, bo nie mają z kim swej pracy podzielić. Nieraz drwi się z tych „wszędobylskich“, ale naprawdę są oni czasem raczej godni pożałowania, niż ironji. Nic łatwiejszego, jak robić tanie dowcipy, na temat tych ludzi, którzy wszędzie agitują, przemawiają, działają, ale w rzeczywistości jest to tylko smutny dowód bierności naszego społeczeństwa, które na barki kilkudziesięciu jednostek składa cały ciężar pracy publicznej.

„Oby uświadomiono sobie nareszcie, że prawdziwy patrjotyzm to p a t r j o t y z m c z y n u!“

A jak jest u nas, w Galicji?

Jeżeli nie gorzej, to z pewnością nie lepiej. Napozór wydaje się, że więcej mamy „idealistów“, jeżeli do nich zaliczymy tych wszystkich, co oddają się pracy niby bezinteresownej. Ale większość z nich uważa ją za szczebel do karjery, za sposobność do przedstawienia swych zdolności i rzekomych uczuć obywatelskich. Z każdym dniem wzrasta ich sława i wziętość. Z chwilą zaś kiedy ci panowie stają się już „znanymi działaczami“ starają się natychmiast zrealizować swe zasługi, wyzyskać zawiązane stosunki. I nagle ten lub ów działacz otrzymuje posadę, którejby nigdy nie otrzymał, gdyby nie był „idealistą“. Inni na podstawie swych zasług umieją uzyskać subwencje lub koncesyjki. Są tacy, co sami stwarzają pewne instytucye użyteczności publicznej, aby stanąwszy na ich czele, zapewnić sobie ładną pensję, bo „wszelka praca powinna być wynagrodzona“ (zdanie to stosują tylko do siebie, bo od innych wymagają bezinteresowności). Są wreszcie tacy co za swą „idealną pracę“ wymagają nagrody w postaci mandatu do sejmu, a choćby do rady miejskiej. Wiadomo zaś, że te „idealne“ stanowiska jeżeli nie wprost się opłacają (choć i to się zdarza), to dają pozycję i stosunki, które równie są szczeblem do karjery.

Do jakiego stopnia ogół na podstawie smutnych doświadczeń podejrzywa nawet tych, co rzeczywiście są „idealistami“, miała dowód pewna instytucja powstała z gorącej chęci pracy dla dobra społeczeństwa. Jeden z jej członków wysłany na prowincję w celach agitacji i jednania członków spotykał się najczęściej (jak zwykle) z obojętnością (o! bo u nas patrjotów liczy się na setki tysięcy!), a bardzo często z powątpiewaniem o czystości zamiarów, z krótką odmową motywowaną w sposób: „a cóż to mnie obchodzi, że pan... (tu wymieniano nazwisko prezesa instytucji) chce zostać posłem?“

I dziwić się temu nie można, bo najczęściej praca publiczna (powtarzamy) służy za szczebel karjerowiczostwu i ambicyjkom. „Idealista“ tego rodzaju, gdy osiągnie cel pożądany, usuwa się całkiem od spełniania obowiązków obywatelskich, bo jest „przeciążony pracą“ — a jeżeli im jeszcze przez czas pewien się oddaje i to w dozie zmniejszonej, to widocznie spodziewa się jeszcze wyciągnąć z tych „trudów“ dalsze dla siebie korzyści.

Ale jest i mniejszość. Ta pracuje nieraz bardzo gorliwie, bez osobistych wprawdzie widoków, ale niestety i bez wielkiego pożytku. W każdej instytucyi, liczącej choćby kilka tysięcy członków, zwala się „po zwyczaju“ pracę na barki kilkunastu lub kilkudziesięciu członków komitetu, a ci znowu wyszukują między sobą trzy, cztery „ofiary“, którym każą pracować za wszystkich... Nieraz wymaga się od tych ofiar prawdziwego poświęcenia, jeżeli są to ludzie ciężkiej na kawałek chleba pracy, a więc nie mogący bez znacznego uszczerbku materjalnego wydołać włożonym na nich „zaszczytnym“ obowiązkom. Wynikiem tego zwyczaju: suchotniczy żywot każdej prawie instytucji, polegającej na pracy bezinteresownej.

Do rady, do stawiania coraz nowych, a coraz wspanialszych wniosków, ludzi nie brak — do pracy, do wykonania powziętych uchwał, niema prawie nikogo.

O to rozbijają się najlepsze zamiary.

Potrzeba raz powiedzieć sobie: jeżeli jestem patrjotą, jeżeli mój patrjotyzm nie jest blagą, marnym liczmanem, którym oszukuję innych i siebie, podając go za złoto, to muszę dobru publicznemu poświęcić bezinteresownie choćby cząstkę swego czasu i pracy, a nie poprzestawać na ogłaszaniu swego patrjotyzmu, lub na wykpieniu się od obowiązków składką kilkunastu czy kilkudziesięciu koron rocznie na cele patrjotyczne.

Ten stan rzeczy wytwarza owych ludzi „do wszystkiego“, którym hołd oddaje *Kurjer warszawski* i „na których temat robią się łatwo dowcipy“. My przyznajemy po połowie słuszność i *Kurjerowi* i dowcipnisiom. Ludzie „do wszystkiego“ są bowiem dwojacy. Jedni poświęcają większość swego czasu i pracy różnym sprawom publicznym i instytucjom, są pod tym względem niezmordowani z idealizmu nie uleczeni. Takim w ostatnich czasach był w Wielkopolsce ks. Wawrzyniak, takim widzieliśmy w Krakowie Jordana. Ale jest jeszcze inny rodzaj ludzi „do wszystkiego“. To są ci, co się dają wybierać do każdego wydziału, każdego komitetu, każdej komisji, sekcji, podkomisji, deputacji, ankiety i t. d. Wszędzie pełno tych pracowitych próżniaków, a nigdzie śladu ich działalności. Boć działalnością trudno nazwać chodzenie z posiedzenia na posiedzenie i zabieranie głosu dla zaznaczenia swego wszechznawstwa. Zastrzegamy się, że i tu są wyjątki: są ludzie, których dobra rada bywa pożyteczną, których stosunki i wskazówki mogą oddać sprawie wielką przysługę. Ale ten szary tłum członków wszechkomitetów, tych domokrążców posiedzeniowych, tylko zawadza prawdziwym pracownikom, bo ich krępuje, bo im się narzuca z radami i wnioskami, bo ich odrywa od systematycznej pracy, bo sam nic nie robiąc, wymaga od nich, aby za wszystkich robili, aby wcielali w czyn jego wielkie pomysły.

Kto chce być pożytecznym szeregowcem w pracy narodowej, ten może współczuć różnym jej kierunkom, ale musi sobie postawić jeden, dwa cele i tym oddać niepodzielnie tę cząstkę pracy, czasu i dobrej woli, jaką rozporządza. Każda instytucja użyteczności publicznej winna mieć s w o i c h w y ł ą c z n y c h p r a c o w n i k ó w, a wówczas praca pójdzie raźno i sporo. Wszędzie należeć, to znaczy nigdzie całą duszą nie należeć. I tacy wszędobylscy są kulą u nogi każdej instytucji dobra publicznego. *K. B.*

Związek towarzystw narodowych.

Poruszoną przez Komitet obywatelski we Lwowie sprawę założenia „Związku towarzystw narodowych“, omówił obszernie Zarząd główny Straży Polskiej na posiedzeniu w d. 25 listopada.

Referent tej sprawy red. K. Bartoszewicz oświadczył się za utworzeniem Związku z następujących powodów:

Potrzeba koniecznie uregulować bezinteresowną pracę podejmowaną w celach narodowych. Powinna to być jedna dobrze skonstruowana i sprawnie działająca maszyna, której każde kółko, każda śruba ma cel określony. Dziś zaś jest to zbiór maszynek, z których jedne pracują z mniejszym lub większym pożytkiem, drugie stoją, inne tylko warczą, robią sporo szumu i hałasu. Brak między niemi spójni, wzajemnego pomagania sobie. Praca na ochotnika, bez systemu, bez wspólnej górującej myśli, nie może wydawać takich owoców, jakieby wydawać mogła i powinna, gdyby nie była rozstrzelona.

O takiej wspólnej pracy myślano już przy założeniu „Straży Polskiej“ i z tego powodu włożono do jej statutu ustęp o popieraniu stowarzyszeń pokrewnych.

Wiele z naszych towarzystw zasypia, wiele mylnie pojmuje swe zadania. Stąd pożyteczną byłaby pewna kontrola, pożyteczne byłoby budzenie do życia, wskazywanie środków właściwych.

Już pod tym tylko względem mógłby Związek przynieść sprawie narodowej niemałe usługi.

Związek mógłby też zwracać uwagę na pewne potrzeby narodowe, które popierać w swym zakresie może każde stowarzyszenie. Niema n. p. stowarzyszenia, któreby nie mogło przyczyniać się w pewnej mierze do szerzenia oświaty, lub któreby

nie mogło w miarę możności popierać przemysłu krajowego i bojkotować przemysł obcy.

Związek mógłby usunąć brzydką, nieobywatelską, a niestety tak często spotykaną konkurencję stowarzyszeń narodowych. Zamiast sobie pomagać, nieraz szkodzą sobie wzajemnie Z własnego n. p. doświadczenia wiemy, że kiedy pragnęliśmy zakładać nasze koła, spotykaliśmy się nieraz z wręcz wrogiem stanowiskiem innych stowarzyszeń, które zazdrosne o własną powagę czy „władzę" używały niejednokrotnie najbardziej niewłaściwych środków, aby nam przeszkodzić, aby nie dopuścić nas do zdobycia sobie nowego dla pracy terenu. A przecież towarzystwa narodowe mogą obok siebie istnieć i pracować, nawet w najmniejszem miasteczku; — owszem powinny się łączyć, popierać wzajemnie, bo przecie cel ich wspólny: dobro narodowe. Praca narodowa wówczas wyda doniosłe wyniki, kiedy zrozumiemy, że na wszystkich polach równolegle dążyć powinniśmy do rozwoju, postępu. Wyraziliśmy tę myśl na wiecu grunwaldzkim w r. 1909 w słowach:

„Zrozumieliśmy potęgę oświaty, więc też nie szczędzimy ofiar na szkoły ludowe, zwłaszcza na kresach, widząc w nich słusznie twierdze polskości. Ale te twierdze łatwe będą do zdobycia, jeżeli w nich postawimy załogi słabe fizycznie, nieożywione duchem narodowym. Więc tworzymy drużyny sokole, aby wzmacniać ciało, wyrabiać energię...

„Ale oświata i siły fizyczne, to materjał wprawdzie potężny, lecz nie wystarczający jeszcze do zbudowania wału ochronnego.

„Naród słaby ekonomicznie nie posiada dostatecznej odporności. Potrzeba ulepszać rolnictwo, potrzeba wydobywać z łona własnej ziemi bogactwa własnemi rękami dla własnej korzyści, potrzeba rozwijać handel i przemysł, bronić go przed obcym zalewem, należy opiekować się rzemiosłami i rękodziełami, trzeba jednem słowem tworzyć bogactwo narodowe. Ale nawet oświeceni, silni ekonomicznie i fizycznie, możemy stać się igraszką przemocy, mierzwą dla wrogów naszych, jeżeli nie będziemy bronić swych praw przyrodzonych, walczyć o język ojczysty, jeżeli w sercach naszych nie będzie gorzał wielki płomień miłości Ojczyzny. Ale i ten płomień nie zapali światła swobody, jeżeli nie będzie miłości wśród nas samych. Rozdarci na trzy części, powinniśmy dążyć do tego, aby duch nasz nie znał kordonów. Jedności tej jednak być nie może, jeżeli się nie zrozumiemy, a nie zrozumiemy się, jeżeli się nie poznamy, jeżeli trwać będziemy w tej karygodnej obojętności na wszystko, co swoje, obojętności, która nam pozwala zwiedzać całą Europę, a nie znać ziemi własnej...

„Kto tego wszystkiego nie pojmuje, kto sądzi, że tylko w jednym kierunku wytężając swe siły, możemy dojść do zbawienia Ojczyzny, ten albo jest ślepy, albo ślepym być pragnie".

Otóż zadaniem Związku byłoby i na tę niedającą się zaprzeczyć prawdę zwrócić uwagę ogółu i towarzystw narodowych. Niestety nie jest ona zrozumianą. Publiczność popiera ten lub ów środek walki naszej o przyszłość, a inne, mniej modne, lekceważy — stąd kiedy jedne stowarzyszenia rozwijają się pomyślnie, drugie o równie pięknych a nieraz i żywotniejszych celach, wiodą żywot suchotniczy.

Szlachetną rywalizację pojmujemy, ale szkodzenie dobrym zamiarom to brak etyki narodowej. Grzeszą nią i takie towarzystwa, co dają zarobek obcym i takie, co w pogoni za groszem, choćby na rzecz najpiękniejszych celów, nie pytają skąd ów grosz pochodzi. Tu kontrola Związku miałaby ważne zadanie do spełnienia.

To są pierwsze uwagi jakie się nasuwają przy rozważaniu poruszonej sprawy założenia „Związku towarzystw narodowych". Przemawiają one za nim bardzo — a nie ulega wątpliwości, że gdyby na czele Związku stanęli ludzie doświadczeni, miłujący dobro publiczne, nie bojownicy partyjni, ale prawdziwie narodowi działacze, to ich opieka i kontrola przyniosłaby i takie korzyści, których nawet nie przewidujemy. Sam fakt istnienia pewnej moralnej władzy, pewnego patronatu nad rozproszonemi usiłowaniami, dążącemi do dobra narodowego, miałby już dla tych usiłowań doniosłe znaczenie. Nie dogadzałby on zapewne ambicyjkom jednostek, ale nie o jednostki, lecz o odrodzenie narodu, o jego przyszłość chodzić nam powinno.

Po dłuższej dyskusyi Zarząd główny „Straży Polskiej jednomyślnie podzielił zapatrywania referenta i polecił je, jako swoje, przedstawić Zarządowi gł Ligi Narodowej i delegatowi swemu bioręcemu udział w naradach nad zawiązaniem „Związku towarzystw narodowych"

Co czynić dla Polski.

Nie każda Polka ojczyźnie swojej dać może syna, lub dobrą córkę dla niej wychować.

Bezdomna, wolna, albo bezdzietna, inaczej musi służyć ojczyźnie.

Dzielnych, ofiarnych cór Polsce trzeba, by ją dźwignęły z niemocy łoża, więc narodowych swych obowiązków, żadna się Polka nie może zrzekać.

Przed każdą pole działania leży — toż wyjść na łany tylko potrzeba i znoju potem uperlić czoło, a dług Ojczyźnie spłaconym będzie.

Z snu wiekowego otrząść się trzeba i sybarytek instynktów pozbyć.

Niech wypoczęty próżniaczy umysł, co przez stulecie bez troski żył, rozpocznie własne przędziwo ze siebie snuć, a wnet się silna nawiąże nitka i płaszcz królewski może z niej być.

Na trwałą nitkę włókienek cienkich, olbrzymi trzeba wysnuwać kłąb. Muszą być równe, jednako lśniące i równą w sobie ukrywać moc.

Prządek, co takie włókienka snują, niech nie rozprasza zawiść lub gniew. Z rozpierzchłej przędzy, choć ona będzie, i jasną smugą poznaczy ślad, nigdy tkaniny nie wyjdzie wzór.

Więc się za ręce niech chwycą prządki i różnobarwne wyciągną nitki, co w różne będą zdążały strony, lecz wszystkie z wspólnej wystrzelą myśli, wskrzeszenia z martwych ojczyzny matki.

Jeśli narodu chcemy potęgi, czuwać musimy, by nam nie zginął najmniejszy atom z całości gmachu, a my rozsiani po ziemi długiej, szerokiej, chwastami obcej głuszeni roli, tracimy soki na korzyść chwastów.

Bezdzietne matki nad polską duszą bezdomnej dziatwy niechaj różową nić snują jasną — czułej opieki.

Wychować Polsce młódź opuszczoną, wyrwać z przepaści, mętów zgnilizny w krainę pracy i praw człowieka wstęp im ułatwić, kobiece serce zawsze potrafi.

Chcieć tylko trzeba, środki się znajdą, wspólnemi siły świat ruszyć można z odwiecznych posad.

Nad tymi znowu, którym ojczysty za skąpy łan i codziennego chleba im brak, więc porzucają ojczystą ziemię i spieszą skrapiać strugami potu obcą i chłodną dla siebie glebę, niechaj rozsnują Polki bezdomne lepszej nadziei nić, co zielenią lśni.

Pójść między siostry z pod wiejskiej strzechy i dać im w ręce talizman wielki od strat i nędzy chroniący, talizman wiedzy, przewodnik pracy, jest to zasługą wobec ojczyzny.

Chłopka, szlachcianka nauczy synów, że piędzi ziemi stracić nie wolno, bo się ojczyzny ukróca władza, gdy obcem zbożem porasta łan.

Sama z swej ziemi skarby dobywać żwawo rozpocznie, gdy światło prawdy, nauki, wiedzy rzuci promienie tam, gdzie się gruby ściele dziś cień.

Bogata niegdyś ojczyzna nasza, podziwem obcych narodów była, w gościnne progi swojej sadyby, obce garnęła żywioły, swojego łanu karmiła darem obcych przybyszów i stół obficie był zastawiony dla tych co w Polsce szukali chleba.

Dzisiaj odarta z bogactwa szaty, przez własne dzieci w przepaść niedoli wtrącona, nędzna, złupiona, własnej ludności żywić niezdolna, zachwytu wcale nie budzi.

Do stanu dawnej potęgi, sławy, przywieść ją trzeba i hołd należny niechaj odzyska.

Nić ciężką, złotą, bogatą, wyprzędą prządki, co obdarzone talentem wielkim, ster sprawy ujmą w swe ręce i nędzy, biedy zasypią ślady.

Na zaniedbane chaty i sady, szlacheckie dwory i opuszczone pałace, ruiną smutną ku nam sterczące, jakby letargu osnute gazą, wyciągną ręce i zbudzą życie, powstanie przez nie wznieciony ruch.

One podniosą sztandar oświaty wysoko i przez nią trafią do każdej chaty, dworu, pałacu i kamiennego gwarnego miasta, rozrzucą hasła budzących świtów różowych i wschodów słońca nowego.

Czas nagli bardzo i otrętwienia przemija sen, niech się sumienia zapyta swego każda, co z czynów ma sprawę zdać, czy dotąd czynów spełniła wiele.

Trud o swą postać, urodę, strój, do czynów

Cudze chwalicie...

(sprawozdanie z wycieczki Straży Polskiej).

(Ciąg dalszy).

Nadjechał wózek, zabrał rzeczy, a my poszliśmy ku miastu wązką drożyną, pnącą się pod górę wśród sadów.

Choć zmęczeni rannem wstaniem i przeszło siedmiogodzinną podróżą parostatkiem, biegliśmy ochoczo do hotelu p. Berensa, spodziewając się przygotowanego dla ciała posiłku. Ale p. Berens przywitał nas ze zdziwieniem, bo nie doszedł go list o naszem przybyciu — więc dopiero za godzinę przyrzekł służyć tem „co jest w domu" i co przygotować można naprędce. A że czasu szkoda, wyszukał nam przewodnika w osobie sprytnego i dość uświadomionego wyznawcy starego zakonu, który poprowadził nas w górę do fantastycznie poszarpanych ruin zamku, na wyniosłej sterczących skale.

Był to zamek niewielki, miał tylko pono cztery izby na dole i tyleż na piętrze, z dziedzińcem otoczonym murem i opatrzonym w strzelnice. Była to jednak silna warownia ze względu na broniącą do niej przystępu spadzistą skałę i na wąwozy ją otaczające. Fundatorem zamku był Kazimierz Wielki, który w nim często przebywał.

Przez czworokątny dziedziniec zarośnięty trawą i berberysem, wchodzimy w środek ruin i stajemy u frontowych otworów okiennych.

Widok ztąd wspaniały. Daleko za Wisłą widać granatową smugę borów, bliżej Janowiec, u dołu srebrzy się wspaniała, błyszcząca wstęga królowej rzek naszych, a z lewej strony tulą się do stóp zamku szczyty kościołów i starożytnych budowli tonące w morzu zieleni.

Idziemy jeszcze dalej w górę do samotnej, olbrzymiej baszty, wznoszącej się na najwyższym punkcie ponad wzgórzami. Okrągła ta strażnica, wzniesiona była zapewne w tym celu, aby z niej śledzono obroty nieprzyjaciela i aby pierwszy odpór mu dawała. Dlatego też nie miała żadnego wejścia u dołu — dopiero po drabinach dostawano się na jej pierwsze piętro, skąd już prowadziły schody na piętra wyższe. Podobno służyła i za latarnię dla żeglarzy. W głębokich jej lochach przebywali schwytani i osądzeni złoczyńcy. W nich też miał zginąć słynny Maćko herbu Napiwoń Borkowic wojewoda poznański, choć inne podanie jako miejsce jego strasznej kary wymienia zamek olsztyński.

Widok z pod tej strażnicy jest jeszcze piękniejszy niż z ruin zamku, oko obejmuje bowiem znacznie szersze widnokręgi. Nigdy też tu nie brak turystów szukających podniosłych wrażeń. Nie brak ich było i dawniej, o czem świadczą wykute w kamieniach strażnicy nazwiska z datami sięgającemi nawet XVII wieku.

Od strażnicy poprowadził nas przewodnik ścieżkami po szczytach wzgórzy, które dalej zamieniają się w równą, lekko falującą się wyżynę.

Wszędzie spotykaliśmy dworki (wille) nieraz bardzo ozdobne, otoczone sadami, ogrodzone sztachetami. Były już puste, bo jesień mieszkańców ich wypędziła do miasta i zagród domowych. Ale latem roją się one od „letników", którzy tu przybywają nietylko z Warszawy i innych miast Królestwa, ale nawet z Litwy, Wołynia i Ukrainy. Pokazywano nam willę, będącą własnością polskiej rodziny z Kijowa. W lecie więc wre tu życie, w którem niemałą rolę odgrywają artyści-malarze, przyciągani tu tak malowniczością krajobrazów jak i bogactwem motywów oryginalnej, mchem wieków pokrytej architektury.

Wróciliśmy do miasteczka inną stroną, spuszczając się stromemi ścieżkami z wyniosłego wzgórza, na szczycie którego olbrzymi krzyż wyciąga ramiona jakby brał pod swoją opiekę całą tę czarów krainę...

Przed obiadem jeszcze zwiedziliśmy kościół farny, który stanął w r. 1610 kosztem rajcy kazimierskiego Mikołaja Przybyły, na miejscu kościoła wzniesionego przez Kazimierza Wielkiego. Ładny ten zabytek architektury posiada mało wyróżniających się szczegółów. W ołtarzu wielkim obraz św. Kazimierza. Nad amboną z mozajki drzewnej unoszą się dwa smoki, a nad niemi orzeł

ludzkich się nie zalicza, i ptak o połysk piórek swych dba i kwiat blaskami się szczyci.

Z uczynków ludzkich korzyść bliźniego albo ojczyzny pożytek kwitnie — kto zatem bliźnim lub swej ojczyźnie nie służy niczem, ten człowieczeństwa nie nosi piętna.

Więc niech człowieka budzą w kobiecie prządki, co nitki przędą purpury i poświęceń własnych swych marzeń i w twardym znoju zamknęły serca dla uczuć błogich, by dla ojczyzny działać i żyć.

Zapału, plonów nie brak nam było, ale dokończyć zaczętych dzieł nie umiał często hetman i król.

Dziś się zmieniły stosunki nasze i nóż na gardle przy swojem twardo każe nam stać, lecz nałóg dawny w duszach wciąż tkwi.

Więc prządki, które nić snują gładko i cierpliwości dają nam wzór, niechaj cierpliwość w wytrwałość zmienią i nić błękitną, symbol stałości, w ogólną przędzę spróbują wpleść.

Kobieta matka każdemu dziecku pracę stosowną wymyśleć umie i korzyść z tego dla domu płynie; matka narodu, więc patryotka, niech się w potrzebach swojej ojczyzny rozpatrzy ściśle, usuwa braki, dobrobyt stwarza i podwaliny do niego kładzie przez pracę mrówczą, twórczą, rodzimą.

Kto jednak pracą kierować pragnie, niech czasu swego nie traci marnie, niechaj do pracy wskazuje pola po nitce twardej, wężlistej, szarej, która tkaniny stanie się tłem.

Mężczyzna Polski nie wskrzesi sam, współpraca kobiet jest mu potrzebną, niechże ta praca będzie rozumną i owoc pełny ze siebie da.

Gdy się poradzą serca swojego, to sto sposobów wynajdą nowych służyć Ojczyźnie i lepszą dolę swym ziomkom stworzą; więc choć Ojczyźnie nie dadzą synów, synowską przecież spełnią powinność.

Za ich staraniem nawet tradycya zaginie o salonowej bezmyślnej lalce i zabobonnej analfabetce wsi: powstaną kobiet nowych zastępy i odrodzenia przyspieszą dzień.

Jeśli się prządki zwiną z przędziwem i kochać poczną ciężki swój trud, wówczas Ojczyzna zrzuci całuny i jasną cudną odsłoni twarz.

U stóp jej prządki złożą przędziwa społecznej pracy, jak niegdyś kładli sztandary swoje rycerze, z krwawych wracając walk.

Marja C.

Za co?

Opowiadanie Lwa Tołstoja [1].

Na wiosnę 1830 r., do majątku Rożanka p. Jaszewskiego, zawitał jedyny syn jego druha, młodociany Józef Migurski.

Jaszewski miał lat 65; na obliczu, jak cegła czerwonem, nosił sumiaste, białe wąsy. Był patrjotą z epoki drugiego podziału Polski. Pospołu z przyjacielem Migurskim służył pod dowództwem Kościuszki. W odrodzenie Polski wierzył niemniej, jak w to, że jutro słońce wzejdzie.

Józef Migurski poznał córkę Jaszewskiego, szesnastoletnią Albinę. Poznali się i pokochali, ale do zwierzeń miłosnych nie przyszło, gdyż Migurski nagle wyjechał.

Wieść doszła do Rożanki, że w Warszawie wybuchnęło powstanie, że w. ks. Konstanty umknął, że okrzyknięto dyktatorem Chłopickiego i że naród polski odzyskał wolność. Mieszkańcy Rożanki przygotowywali się do czegoś ważnego i uroczystego. Jaszewski porozumiewał się listownie ze starym przyjacielem, jednym z naczelników powstania, przyjmował tajemniczych gości, i wydawał jakieś wcale niezwyczajne rozkazy. Pani Jaszewska bardziej niż kiedykolwiek troskała się o zdrowie męża, co go jeszcze bardziej gniewało. Starsza córka Wanda posłała klejnoty swoje na ręce przyjaciółki w Warszawie, prosząc by je sprzedała i pieniądze oddała rządowi narodowemu. Młodziutką Albinę zaprzątała jedynie myśl o tem, co się dzieje z Migurskim. Dowiedziała się od ojca, że zaciągnął się do oddziału jen. Dwernickiego.

Tylko ci, którzy oglądali cierpienia Polaków po rozbiorze kraju, kiedy część Polski dostała się pod jarzmo znienawidzonych niemców, a inna część w ręce barbarzyńców rosyjskich, tylko świadkowie tych cierpień zdołają pojąć zapał, jaki ogarnął Polaków w r. 1830, kiedy wskrzesła na nowo nadzieja rychłego wyzwolenia. Nadzieja krótko trwała. Rewolucyę znowu zdławiono. Dziesiątki tysięcy Rosjan, wdrożonych do ślepego posłuszeństwa, spędzono do Polski zrazu pod dowództwem Niemca Diebitscha, nigdy nie wytrzeźwiającego się pijaka, a potem pod dowództwem grubjańskiego żołdaka, Paszkiewicza. Te dziesiątki tysięcy Rosjan, bez żadnego rozsądnego powodu, musiały obficie zraszać krwią swoją i krwią polską ziemię polską, musiały przytłaczać Polaków swą przemocą, wydawać ich w ręce marnych ludzi, dla których było rzeczą zgoła obojętną, czy Polska będzie wolna, czy skuta, którzy przemyśliwali jedynie o zbogaceniu się, o zaspokojeniu swojej ambicyi i dziecinnej żądzy sławy.

Warszawę znowu zdobyto, pułki powstańców pokonano i rozproszono, setki tysięcy Polaków zesłano na wygnanie, rozstrzelano, zaćwiczono na śmierć knutami.

Do wygnańców należał również młody Migurski. Dobra jego skonfiskowano, a jego oddano w sołdaty i zaliczono do bataljonu, załogującego w Uralsku.

Rodzina Jaszewskich, skutkiem choroby ojca, musiała całą zimę 1832 roku spędzić w Wilnie. Otrzymali tam list od Migurskiego, więzionego wtedy w jakiejś twierdzy. Pisał, że pomimo smutków przeżytych, pomimo katuszy przyszłych, jest szczęśliw, że cierpiał za ojczyznę; nie zwątpił w świętą sprawę, której oddał kęs życia i której resztę życia gotów oddać, bo skoro sposobność się nastręczy, będzie tak działał, jak dotychczas. Przy czytaniu na głos tego listu, starzec Jaszewski wybuchnął płaczem.

List kończył się temi słowy: „Kiedym ostatnio wśród was gościł, byłem opanowany przez zamiary i marzenia, o których teraz nie mogę, nie pragnę nawet myśleć. Dni owe pozostaną promienną chwilą mego życia...“

Mikołaj I, aby ukarać Polaków nietylko mękami cielesnemi i nędzą, lecz jeszcze poniżeniem, rozkazał władzom obchodzić się z nimi surowo. Wszelako ludzie prości częstokroć odstępowali od litery rozkazów, chociaż nieposłuszeństwo groziło nielada niebezpieczeństwem. Dowódca bataljonu, w którym Migurski służył, człowiek książkowo wykształcony, sam sobie zawdzięczający wybicie się po nad poziom żołnierstwa, pojmował tragiczne położenie młodzieńca, wychowanego w dostatkach, a który poświęcił wszystko, broniąc wolności swego ludu. Żywił ku niemu szacunek i współczucie i w miarę możności czynił mu różne ulgi. Migurski czuł głęboką wdzięczność dla starego pułkownika i przez wdzięczność wykładał jego synom matematykę i język francuski, przysposabiał ich do akademji wojskowej.

Nietylko jednostajność i nudy trapiły Migurskiego w Uralsku. Ciężko mu było przywyknąć do braków, na które skazało go ubóstwo. Po konfiskacie majątku zostały mu jeno: zegarek, pierścień i pieczątka herbowa. I te pamiątki, jedną po drugiej, musiał spieniężyć. Jedyną rozkosz sprawiały mu listy Albiny, której czarowny obraz żył w jego wyobraźni i z dniem każdym zyskiwał na krasie. W jednym z pierwszych listów zapytywała, co pragnął powiedzieć słowami listu do ojca: „Byłem wtedy opanowany przez zamiary i marzenia“. Odparł, że marzył o poślubieniu jej. Odpisała mu, że jest to również jej marzeniem i że go kocha...

Wkrótce potem Migurski otrzymał przekaz na 2.000 rubli złotem. Stempel pocztowy i charakter pisma na adresie nie pozostawiały wątpliwości, że pieniądze pochodzą od Albiny. Niezwłocznie odesłał przekaz z powrotem i błagał gorąco w liście, aby dźwięk złota nie kalała świętego uczucia...

Dola Migurskiego stała się wyłącznym, jedynym przedmiotem myśli Albiny. W oczach jej był on największym bohaterem i męczennikiem. Postanowiła poświęcić się mu cała. Skończywszy lat 18, zawiadomiła macochę o postanowieniu wyjechania do Uralska, aby poślubić Migurskiego. Macocha zarzuciła Migurskiemu sobkostwo, nazwała go interesownym, pragnącym poprawy losu przez bogaty ożenek. Albina wpadła w gniew i powiedziała macosze, że tylko ona może podejrzewać tak poziome pobudki w człowieku, który wszystko dla ojczyzny poświęcił. Właśnie dla tego, że Migurski odrzucił ofiarowaną sobie pomoc, postanowiła niezłomnie go poślubić...

Doprowadziwszy swój zamiar do skutku, Albina

[1]) Ze względu na rozmiary naszego pisma podajemy to opowiadanie w streszczeniu i w najcelniejszych wyjątkach. Ustępy streszczone drukujemy mniejszemi czcionkami.

---

srebrzysty. Kościół ma trzy kaplice, kilka tablic i nagrobków mieszczan kazimierskich. W jednej z kaplic są dwa obrazy: Kazimierz W. jako kum i Sobieski modlący się przed wyprawą wiedeńską. W innej spotykamy marmurowy pomnik Przybyły. Zwraca na siebie uwagę świecznik w kształtach jeleniej głowy, mający na wierzchołku... orła austrjackiego. Pozostałość to więc z czasów po trzecim rozbiorze, kiedy Kazimierz przez lat kilkanaście należał do Galicji.

Po obiedzie, bardzo smacznym, choć na poczekaniu przygotowanym, a podanym na werandzie hoteliku p. Berensa, ruszyliśmy na dalsze zwiedzanie miasta. Rozpocząwszy od rynku, stanęliśmy przed dwoma jednopiętrowemi kamieniczkami, którym podobnych nie znajdziemy jak Polska długa i szeroka. Powstały one w czasach gdy Kazimierz był miastem wielce handlowem, gdy zjeżdżali do niego kupcy z Gdańska, Elbląga i Torunia, gdy Anglicy mieli w nim kantor, gdy zamieszkiwali go i Grecy i Ormianie, gdy go małym Gdańskiem nazywano. Dla dowozu zboża do Kazimierza zbudowano za Zygmunta III na Wiśle most stały.

Wówczas to mieszczanie kazimierscy budowali dla siebie małe, ale kosztowne kamieniczki, nie żałując grosza na ich ozdobienie. Było ich zapewne dość sporo — ale tylko trzy oparły się niszczącej potędze czasu: te dwie na rynku i trzecia na ulicy Senatorskiej. Świadczą one nietylko o zamożności ówczesnych mieszczan, ale i o ich estetycznych upodobaniach. Wszystkie są stawiane z kamienia, mają dachy kryte, zasłonięte bogatą attyką. Cały ich front prawie pokryty jest rzeźbą..

Trudno żądać, aby z chwilowego rzutu oka na te zabytki pozostał w pamięci ich obraz dokładny, szczegółowy. Więc przytaczam, w streszczeniu, krótki ich opis podany przez Sobieszczańskiego:

„Dolne piętro obu rynkowych kamienic zbudowane było w podcienia, każde o trzech sklepionych arkadach. Tu się mieściła sień obszerna i schody na górę, gdzie były trzy pokoje i sień, z tych arkad jedna tylko pozostała i ta stanowi bramę dzisiejszego ratusza, wszystkie zaś inne zamurowano. Sciany, aż po pierwszy gzyms, to jest okap, wyrabiane są w kamieniu; futryny od okien dziwacznem przystrojone obramowaniem, na płaskosłupach widać w płaskorzeźbie popiersia, a nawet całe figury świętych i rozmaite inne przedmioty. Głównie przecież ozdabiają się rynkowe kamienice rzeźbami, wypełniającymi najszersze między ich oknami odstępy. Na jednej z nich wystawiony jest w ozdobnych ramach św. Mikołaj, na drugiej zaś bez żadnego obramowania, olbrzymi św. Krzysztof. Część muru, dach właściwy zasłaniająca, aż po blanki wyrobiona jest w płaskosłupy, w odstępach zaś między tymi ostatnimi, znajdują się na kamienicach rynkowych płaskorzeźby świętych, medaljony i rozmaite godła, na domu zaś przy ulicy Senatorskiej okrągło-wklęsłe i w półokrąg zakończone wnęki. Blanki same, które wszystkie trzy powyższe kamienice u góry wieńczą, na każdej z nich są odmienne. Na kamienicy ze św. Mikołajem, podobne są z ogólnego kształtu do blanków gmachu szpitalnego świętego Ducha w Lublinie, odmiennie tylko wywzorowane; na kamienicy ze św. Krzysztofem, są więcej wieżyczkowate; na trzeciej zaś mają postać ołtarzy, żłóbkowane wnęki, a w nich pięknie modelowane figury świętych. Z pomiędzy wspomnionych kamienic ta właśnie ostatnia, zdaje się najdawniejszą i przedstawia prawdziwy wzór ozdobnego budownictwa w stylu odrodzenia. Pochodzić może z końca XVI wieku, dwie inne są późniejsze. Na kamienicy ze św. Mikołajem wyrobiony jest rok 1625. Była ona podówczas własnością Mikołaja Przybyły, rajcy kazimierskiego, zmarłego r. 1627. Dziś jest obrócona na ratusz; na górnej części jej muru, umieszczone są obrazy czterech ewangelistów ze stosownymi napisami, na skrajnych zaś płaskosłupach dolnej części popiersia św. Jakóba większego i św. Tomasza. Dawny właściciel drugiej kamienicy ze św. Krzysztofem, nie jest wiadomy. Dziś kamienica ta należy do jednego z żydów kazimierskich. Popiersiowe medaljony ją zdobiące, pochodzą ze świeckiej historyi, na płaskosłupach zaś napisane są sentencje moralne, po części z dzieł Seneki

doczekała się dwojga dzieci, które słodziły nieco cię żar wygnania.

Znajdując się śród całkiem obcych dla siebie ludzi, doznawali uczucia pątników, którzy się zabłąkali w drodze i tulą się ku sobie, ogrzewając się wzajem... Przymusowy pobyt zdala od ojczyzny był źródłem nieprzerwanych smutków, jak niemniej nieznośnie poniżające położenie, w którem się znajdowali... Zasmucały ich również wiadomości, z Polski odbierane. Niepodobna nawet było myśleć, aby kiedykolwiek nastąpił kres ich opłakanej doli. Wszystkie próby wyjednania ułaskawienia, lub bodaj zmniejszenia kary, okazywały się płonnemi. Nawet nadziei, że Migurski zaawansuje, niemożna było żywić: zesłanych Polaków nie pozwolono awansować.

Cesarz Mikołaj I przyglądał się paradom, ćwiczeniom, manewrom, uczęszczał na bale maskowe, bez żadnej potrzeby przebiegał Rosyę z końca w koniec, siejąc postrach śród ludzi i zapędzając na śmierć konie. Zdarzało się, że ten lub ów, nabrawszy śmiałości, przemówi słówko o ulżeniu losu dekabrystów albo Polaków, którzy tem jedynie zawinili, że kochali gorąco ojczyznę; wtedy pierś jego wysoko się podnosiła, wzrok ołowiany padał w przestrzeń i rozlegała się odpowiedź krótka: „Niech służą! Zawcześnie jeszcze na łaski!“ Odbierało się przytem wrażenie, że on tylko wie ściśle, kiedy mianowicie nie będzie „zawcześnie“. I wszyscy, należący do jego otoczenia, którzy za stołem jego jadali: jenerałowie, dworzanie, kobiety, wszyscy nabierali przeświadczenia o przezorności, ostrożności i mądrości wielkiego męża...

W szóstym roku pożycia małżeńskiego na wygnaniu spadło na Migurskich nowe nieszczęście: śmierć dwojga dzieci, zmarłych skutkiem złośliwej gorączki, której w Uralsku nie było komu leczyć. Albina popadła w rozpacz i całemi dniami przesiadywała na cmentarzu.

Za co? za co? — zapytywała siebie po raz tysiączny. — Posiadaliśmy z Józefem tylko jedno pragnienie: żyć w tych warunkach, w których przyszliśmy na świat, w których żyli nasi dziadowie i pradziadowie. Pragnęliśmy żyć razem, miłować swoje dzieci, wychować je na zacnych ludzi. A oto jego zsyłają na wygnanie i męczą, a mnie odbierają, com miała najdroższego. Za co? za co?

Zwracała się z tem pytaniem do Boga, do ludzi, dopóki nie straciła nadziei otrzymania kiedykolwiek odpowiedzi. Bez odpowiedzi zaś na to zagadnienie, życie straciło dla niej wartość, przestała poprostu istnieć... Wygnanie i ubóstwo stały się teraz dla niej nie do zniesienia, i nietylko dla niej, bo również dla Migurskiego, który pospołu z nią cierpiał, a ulżyć jej nie mógł...

W tak ciężkiej dla nich dobie przybył do Uralska polak Rossołowski, ongi profesor matematyki. Tak samo, jak Migurski i tysiące innych, był zesłany za to, że chciał pozostać tem, czem się urodził — Polakiem.

Pospołu z ks. Sierocińskim marzył on o wznieceniu powstania na Syberji, oderwaniu jej od Rosji i zrobieniu krajem niezależnym, a co najmniej o gromadnej ucieczce przez stepy do Indji angielskich. Spisek wykryto... Cóż spotkało ks. Sierocińskiego? — spytał Migurski.

— Zabito go tak, jak oni zwykli zabijać: pałkami! Siedem tysięcy kijów... Sam widziałem. Przedewszystkiem wyprowadzono na miejsce kaźni tych sześciu, co do których wyrok opiewał: 7.000 uderzeń pałkami takiej grubości, aby „trzy sztuki mogły się zmieścić w lufie karabina“ — jak powiedziano w rozkazie cesarskim. Dwa bataljony żołnierzy czyli tysiąc ludzi utworzyły długi szereg; każdy z nich trzymał w dłoni pałkę do uderzania po obnażonych plecach skazańca. Ciągną go środkiem dwaj kaprale, przywiązawszy mu ręce do kolby karabina. Naprzód przeprowadzono wśród ciosów kijami Dra Szokalskiego, przyjaciela Sierocińskiego. Najszlachetniejszy to człowiek, prawdziwy rycerz miłości i poświęcenia się dla bliźnich. Szanowali go wszyscy, nie wyłączając Rosjan. Spieszył z pomocą lekarską do wszystkich, dniem i nocą, nie pobierając wynagrodzenia.

— Ach! gdyby on był tutaj, kiedy moje dzieci zachorowały! — pomyślała Albina.

W trop za Szokalskim szedł wśród szeregów lekarz rosyjski, cicho, ledwo dosłyszalnie szepcząc do żołnierzy: „Nie bijcie mocno, to wątły, chory człowiek...“ Ale żołdacy uderzali z rozmachem, ponieważ z tyłu za nimi stali oficerowie, gotowi zaraz ich obić, gdyby pofolgowali skazańcowi... Kiedy straszliwy pochód zbliżył się ku mnie, słyszałem wyraźnie uderzenia i świst kijów... Pastwienie się trwało conajmniej godzinę, a skończyło się tem, że nieszczęśliwą ofiarę, której nogi odmówiły posłuszeństwa, zaniesiono gdzieś... Gdy nieco sił nabierze, otrzyma resztę razów, niedoliczonych teraz... Po Szokalskim nastąpił drugi, trzeci, czwarty. Wszyscy padali, wszystkich wynoszono, jednych martwych, drugich napół żywych. Ostatnim z kolei był Sierociński. Dawno go nie widziałem, więc zdumiałem się, jak strasznie się odmienił. Postarzał się o lat dziesięć. Jego wywiędła i łysa głowa z siwą brodą opadła na piersi i co chwila drgała. Obnażona górna część ciała przerażała chudością; żebra na wierzch powyłaziły. Po każdem uderzeniu wstrząsał się całem ciałem, głowę wznosił do góry i znowu ją opuszczał, a kiedy mijał mnie, słyszałem, jak szeptał słowa modlitwy: *Miserere mei, miserere mei, Deus, secundum misericordiam, Tuam...* Nie! nie potrafię dalej opowiadać. Dość że skonał tam, na miejscu...

— Niepodobna, niepodobna tak żyć dłużej — zawołała Albina.

Przy pomocy Rossołowskiego Migurscy ułożyli plan ucieczki. Mąż schował się na strychu, porzuciwszy odzież nad rzeką. Uznano, że utonął. Rzekoma wdowa wyjednała pozwolenie powrotu do kraju i zabrania z sobą trumienek dzieci. W skrzyni po temu przeznaczonej, a pod tarantasem umocowanej, ukrył się Migurski. Do Saratowa dodano Albinie, jako konwój, kozaka. Od Saratowa pozbywszy się opieki, Migurscy popłynęliby Wołgą na morze Kaspijskie, a stamtąd do Turcji.

Kozak Daniło Lifanow urodził się w Sielecku. Liczył 34 lata, odsługiwał ostatni rok. Rodzina jego składała się z dziewięćdziesięcioletniego dziada, dwóch braci, żony najstarszego brata, zesłanego na Syberję za przylgnięcie do starowierców, jego własnej żony, dwojga dziewcząt i dwóch chłopców. Ojciec poległ na wojnie z francuzami, więc Daniło został jedynym żywicielem rodziny. Zresztą rodzina jego zażywała dostatku. Mieli 16 koni, 2 pary wołów i 15 dziesięcin roli, zaoranej i zasianej. Daniło odbywał służbę w Orenburgu i Kazaniu, a teraz ukończył ją w Uralsku. Był on surowym staroobrzędowcem: nie palił tytoniu, nie pijał gorzałki, nie jadał z jednej misy z nieprawowiernymi i ściśle dochowywał przysięgi. Zawsze i we wszystkiem działał po namyśle, według sumienia, skrupulatnie wypełniał rozkazy zwierzchności. Polecono mu dostawić polkę do Saratowa, baczyć by nikt jej nie skrzywdził i dozierać jej kroków. On też dostawił ją do Saratowa pospołu z trumną i małym pieskiem.

Aliści na ostatnim właśnie noclegu podpatrzył on i podsłuchał, że Albina, nad trumną nachylona, z kimś rozmawia; snadź w trumnie ukrywa się żywy człowiek. Wierny ślepo otrzymanym rozkazom, zawiadomił o tem policyę. Kiedy Albina, załatwiwszy formalności, wracała ucieszona z miasta, aby kozaka odprawić i wsiąść z mężem do łodzi, uderzył ją taki widok:

Około tarantasu, w nowym mundurze z lśniącemi w słońcu guzikami, stał niezgrabny człowiek, gruby, tłusty, wypasiony. Tonem władcy wydawał rozkazy. Przed nim, mając dwu żołnierzy po bokach, stał Józef w siermiędze. W pomiętych jego włosach sterczała słoma. To prostował, to garbił szerokie plecy. Widocznie go ogarniała rozpacz, pojmował beznadziejność położenia. Ujrzawszy Albinę chciał rzucić się ku niej, ale żołnierze go powstrzymali.

— Wszystko dobrze, Albino — wyrzekł ze zwykłym uśmiechem na ustach — proszę cię, nie niepokój się.

— A! oto i młoda dama — wykrzyknął policmajster. — Podejdź-no tutaj! To trumna twoich dzieci? Czy tak? — zagadnął, mrużąc oczy i zaciskając mocno usta.

Albina nie odpowiadała. Dłonie jej skrzyżowały się na piersiach, język wymówił posłuszeństwo. Szeroko rozwartemi oczyma spoglądała na męża.

Jak to się często zdarza w chwilach strasznego niebezpieczeństwa i prób ciężkich — cały rój wspomnień owładnął nią, dawno przeżyte uczucia i myśli wskrzesły i nie mogła ona, nie miała sił po temu, by pojąć, co się stało, uwierzyć, że wydarzyło się nieszczęście. Najpierw doznała uczucia, już niegdyś doświadczanego, uczucia poniżenia na widok, że jej bohater Józef musi ulegać oprawcom swoim. „Jak śmią oni dotykać się go, najlepszego z ludzi?“ Nagle pomyślała, co go jeszcze czeka i wnet przypomniała swoje pierwsze, wielkie nieszczęście — zgon dziatek. I znowuż nasunęło się jej dawno męczące zagadnienie: „Za co? Dlaczego

---

czerpane, z powodu zatarcia w wielu miejscach, niełatwe teraz do odczytania“.

Tyle Sobieszczański.

Do tego opisu dodać należy, że obie kamieniczki na rynku czynią wrażenie jednej całości, o dwu attykach odmiennie rozwiniętych. Na to wrażenie składa się jednaka ich wysokość i szerokość, okna tej samej wielkości na jednej linji znajdujące się i jednakowo rozstawione, dalej łączące się ściśle ze sobą okapy czyli gzymsy, wreszcie takie same owo „wyrobienie ścian w kamienie“. Nie ulega wątpliwości, że stawiał je jeden i ten sam budowniczy.

Kiedy patrzymy na te tak piękne i wdzięczne zabytki naszego budownictwa, rodzi się przypuszczenie, że przecie nie jeden Kazimierz takie budowle posiadał, że kiedy były tu, musiały być i gdzieindziej. Gdzież się więc podziały? Rozwiązanie zagadki chyba w tem leży, że kiedy inne miasta wznosiły się, przebudowywały, Kazimierz po wojnach szwedzkich upadł i nie podniósł się więcej. Miasto nie rozszerzało się, nowe „potrzeby“ nie wymagały burzenia starych zabytków. Nikomu one nie zawadzały, nie psuły widoku, jak zawadzał i psuł widok ratusz krakowski prezesowi senatu „wolnego, niepodległego i ściśle neutralnego miasta Krakowa“. Nie trzeba było w nim stawiać hotelów i wielkich domów czynszowych, dla których zburzono cały szereg pałaców XVII i XVIII w. w Warszawie. Więc nie niszczono tych kamieniczek, a choć je nieco popsuto znosząc podcienia, chciałoby się je nakryć kloszem, aby uchronić od zmian powietrza. Nie prywatną, ale kraju powinny być one własnością, aby były otoczone odpowiednią opieką. Niestety, Kongresówka nie wie i długo jeszcze wiedzieć nie będzie co to jest własność krajowa.

Na rynku doznaliśmy miłej niespodzianki, zbliżyło się do nas towarzystwo przybyłe z Puław, w którem znajdowała się przyszła nasza opiekunka i przewodniczka w słynnej, mającej tak bogatą literaturę, siedzibie Czartoryskich. Zawiadomiona o naszym przyjeździe, przybyła umyślnie do Kazimierza, aby nam towarzyszyć w jego zwiedzaniu i pokierować pierwszymi naszymi krokami w Puławach.

W jej towarzystwie udaliśmy się na ulicę Senatorską dla zwiedzenia trzeciej z opisanych powyżej kamieniczek, a potem do kościoła wzniesionego również przez wspomnianego Przybyłę dla księży Reformatów.

Kościół stoi na wzgórzu. Po kamiennych schodach dostajemy się na dziedziniec klasztorny; jest to półkole otoczone murem, we wnękach którego umieszczono malowane, dziś poczerniałe od starości stacje męki Pańskiej. Na dziedzińczyku rośnie kilka drzew wyniosłych, w środku stoi krzyż olbrzymi. W kościele skromnym, budową inne reformackie przypominającym, są nagrobki Przybyłów i Tarłów, mieszczan i wielkich panów, z których pierwsi w Kazimierzu zostawili wybitne ślady swej pobożności, ofiarności i dobrego smaku, a drudzy tylko swe nagrobki. W krypcie pod kościołem spoczywają ciała zakonników.

Kościołek reformacki wywiera nadzwyczaj miłe wrażenie. Zawdzięcza to przedewszystkiem swemu ślicznemu położeniu, potem uroczemu dziedzińczykowi, wreszcie tej niesłychanej ciszy, jaka wokół niego panuje. Rząd rosyjski kasując klasztory wypędził i z niego zakonników, — ale te opustoszałe mury przemawiają, przemawia do serc i ten brak ich gospodarzy, przemawiają te lochy z kośćmi „ojców“ co w tych murach przeżywali wojny szwedzkie, później widzieli ciągnące przeciw Kościuszce zastępy moskiewskie, patrzyli na orła austryackiego wyciągającego swe szpony, a zaraz potem na zwycięskie sztandary księcia Józefa, przyjmowali następnie mniemanego „oswobodziciela“ Polski Aleksandra, z trwogą chwytali wieści z pod Grochowa i Ostrołęki... Żywa niedawna tradycja opowiada jak ostatni mieszkańcy tych murów w r. 1861 urządzali nabożeństwa za pięciu poległych, wotywy za zbawienie ojczyzny, jak poświęcali pamiątkowe krzyże, aby zaraz potem w r. 1863 błogosławić młodzież idącą do boju, widzieć upadek nadziei i zobaczyć wreszcie żołdaków wdzierających się do ich cichej przystani, aby porwać i wywieść nocą jej mieszkańców.

odebrano mi dzieci? Dlaczego cierpi i dlaczego musi zginąć jedyny, pozostały dla niej, najszlachetniejszy człowiek?..."

— Czy to twój mąż? — zapytał policmajster, wskazując Migurskiego.

— Za co? za co? — krzyknęła Albina i wybuchając śmiechem rozpacznym, padła na skrzynię, w której mąż się ukrywał...

Migurskiego okuto w kajdany i wyprowadzono z zajazdu. Albina pobiegła za nim. „Łaski! łaski! — wołała. — Jam tylko winna!"

— Zobaczymy później. Przyjdzie kolej i na ciebie — rzekł policmajster i odepchnął ją na bok...

Przez cały ten czas kozak Daniło stał przy tarantasie, chmurno spozierał to na policmajstra, to na Albinę, to na swoje buty. Kiedy Migurskiego uprowadzono, piesek, zaprzyjaźniony w drodze z kozakiem, zbliżył się do niego i polizał mu rękę. Kozak szybkiemi krokami odszedł nagle od tarantasu, zerwał czapkę z głowy i cisnął ją o ziemię, kopnął psa i podążył do zajazdu. Tam zażądał wódki, pił ją dzień cały i noc całą, przepił wszystko, co posiadał i ocknął się dopiero trzeciego dnia w jakimś rowie, do którego nie wiedzieć jak wpadł. Poczuł teraz, że nie nęka go już pytanie, czyli godziwie postąpił, wydając Migurskiego w ręce policyi...

Sąd skazał Migurskiego za dezercyę na tysiąc kijów. Krewni jego, dzięki stosunkom w Petersburgu, wykołatali zamianę kary cielesnej na dożywotnie wygnanie do Syberyi.

Albina towarzyszyła mężowi, ale niedługo już pożyła. Według świadectwa lekarza, zmarła na suchoty; sama atoli zeznawała, iż zabija ją tęsknota. Do ostatniej chwili pojąć nie mogła celu bezmyślnych okrucieństw. Pozostawała jej jedyna nadzieja, że śmierć odsłoni jej tajemnicę i oto dlaczego myślała o niej bez trwogi, niekiedy nawet z radością...

Migurski zaczął szukać zapomnienia w alkoholu. W kółku równie nieszczęśliwych polaków, towarzyszów niedoli, dziesięć lat jeszcze wlókł nędzne istnienie.

Cesarz Mikołaj I szczycił się, iż zdławił rewolucyę w Polsce, owszem, w całej Europie. Chlubił się, że dochował wiary zasadom babki, wielkiej Katarzyny, że zdołał, dla szczęścia Rosyi, pokonać Polskę. Ludzie w pozłocistych mundurach, z orderami na piersiach, wielbili go tak, że w końcu sam uwierzył w swoją wspaniałomyślność, nabrał przekonania, iż życie jego jest szczęściem dla ludzkości, a zwłaszcza dla narodu rosyjskiego, którego wszelkimi siłami starał się poniżyć i utrzymać w ciemności.

Całe opowiadanie powyższe, aż do nazwisk i drobnych szczegółów, jest ściśle historyczne. Niedawno jeszcze, na cmentarzu katolickim w Nerczyńsku, oglądano nagrobek Albiny Migurskiej, być może, istniejący dotychczas. Smutne jej koleje opowiedziano niegdyś szczegółowo w miesięczniku *Otieczestwiennyja zapiski*; streścił je też Maksimow w głośnem dziele „Sibir i katorga" (przekład polski Zenona Pietkiewicza, Warszawa, 1900 roku, tom III). O spisku b. przeora bazylianów owruckich, ks. Sierocińskiego, wielokrotnie pisano. Z tego wątku autor „Wojny i pokoju" wysnuł opowieść „Za co?"

Z kwestyi społeczno-kobiecej.

Smutne położenie gospodarcze i ekonomiczne naszego społeczeństwa po wsiach i miastach, zacofanie na wielu polach pracy, niski lub powierzchowny stan kultury umysłowej przeciętnego ogółu a kobiet w szczególności, zmusza nas do zastanowienia się nad wyborem dróg i środków, któreby nas z tego stanu nieznośnego wyprowadziły.

Ilekroć razy społeczeństwo znajdowało się w podobnych warunkach, tylekroć zwracało się zawsze do szkolnictwa i w reformie szkół szukało zadatku przyszłej poprawy swych niedomagań i usuwania braków. I dziś również zwracamy się do szkoły, jako źródła kultury, wiedzy i moralności i zadajemy sobie pytanie, w jakim kierunku i w jakich granicach reformy nasze pójść powinny, ażeby szkoła żeńska szczególniej była wykładnikiem potrzeb ogólno-społecznych. Jesteśmy społeczeństwem zaniedbanem pod wielu względami; szeroka i głęboka oświata może nas z zaniedbania wydźwignąć.

Jesteśmy społeczeństwem zubożałem, po miastach i miasteczkach w znacznej mierze urzędniczem, o względnym dobrobycie rodziny, związanym z głową jej i opiekunem, mężem i ojcem. Utrata tej podpory pogrąża nieraz rodzinę w przepaść niedoli, lub stawia na progu niedostatku i nędzy. Stan taki wytwarza dla kobiety inne zupełnie warunki, jak w społeczeństwach zamożnych, bogatych.

Kobieta nasza nie może łączyć dziś bytu rodziny li tylko z pracą mężczyzny, lecz musi tę troskę dzielić z nim i również jak on myśląc o przyszłości, usposobić się do samodzielnego zapewnienia sobie bytu.

W społeczeństwie podupadłem gospodarczo i ekonomicznie, zaniedbanem oświatowo i zagrzebanem głęboko w tradycyi, zdobywanie pola pracy dla kobiety jest niesłychanie trudnem, uciążliwem i powolnem.

Kobieta nasza zmuszona okolicznościami, garnie się do pracy, lecz bez inicyatywy i idzie owczym pędem za innemi, nie kocha tej pracy, oddaje się jej chwilowo, bo nie widzi w niej odzwierciedlonej siebie tak jak w życiu codziennem.

W domowem swem zaciszu rozwija energię kobieta, która zmysł do tego posiada i wolę, aby ognisko swoje uczynić przybytkiem ładu, wdzięku, dobrobytu, wypoczynkiem ducha, ucieczką, schroniskiem, z którego się czerpie pokrzepienie i siłę w walce życiowej. Zbliża się jednak chwila, w której będzie musiała zużytkować przymioty swoje na zewnątrz ogniska domowego i przenieść je na szerszą arenę działania, to jest na społeczeństwo swoje. Na tę chwilę trzeba ją przygotować. Dążymy do przeobrażenia na polach gospodarczych, prze nas do tego cywilizacya, rozrost wiedzy przyrodniczej, która rzuca na zjawiska życiowe tak jaskrawe światło, że trudno już na nie zamykać oczy, ekonomiczna walka rozpalająca się coraz groźniej i duch czasu dążący ku zmianom.

Kobieta odegra niezawodnie wielką rolę w przewrotach gospodarczych, a co za tem idzie i społecznych i odegrać ją musi nawet mimo własnej woli, skieruje ją ku temu rozwój reform sięgających aż do podstaw ustrojów gospodarczych, a kobieta z gospodarstwem swojem jest właśnie podstawą, na której cały gmach spoczywa.

Z zacisza domowego wynosi człowiek upodobanie, przyzwyczajenia, żądze, pragnienia, kulturę na zewnątrz i znowu ku niemu w wieku dojrzałym kieruje się,ześrodkowując się w ognisku domowem przez siebie założonem, w które garnie to co jest pożądaniem jego duszy i ciała.

Twórczynią i kierowniczką kultury życia domowego wewnętrznego jest wyłącznie kobieta, mężczyzna do niej nagina się jako dziecko, później jako mąż; czyni to bezwiednie, suggestywnie.

Kobieta przyjmuje na siebie obowiązek zaspakajania wszystkich potrzeb życia domowników swoich. Potrzeb dziś bardzo rozległych skoro cały olbrzymi ruch przemysłowo-handlowy około ich zaspokojenia obraca się. Postęp i rozwój przemysłu i handlu potrzeby nasze zwiększa, wysubtelnia, rafinuje, lecz zarazem budzi pożądania niezdrowe, trudne do okiełzania, tembardziej szkodliwe, że podniecanie ich obliczonem jest na korzyść budziciela.

Cywilizacya dzisiejsza z całym swoim aparatem ulepszeń i upiększeń życia, degeneruje nas szalenie, bo wplata w swoje koło nie szczęścia ludzkiego pragnienie, lecz namiętności ludzkich rozpętanie.

Do kobiety zwraca się ludzkość z wołaniem, by ją odrodzić zechciała i w niej swą całą nadzieję pokłada.

Chcąc ludzkość odrodzić, znać musi słabości przyczynę i schyłkowości stopień, stanąć jej trzeba na jakiejś wyżynie i spojrzeć na to rozległe, wzburzone, kłębiące się morze, które się życiem nazywa.

Dziś stoi ona poniżej życia, fala idzie ponad jej głową, stąd to bezmyślność i beztroskliwy spokój w mniemaniu, że tak jak jest, powinno być.

Kierownicy kobiety często podobnie sądzą jak ona i troszczą się tylko o to, by umiała ognisko wygodniejszem i milszem uczynić. Przykrawują i przystosowują więc jej wiedzę do tej wytycznej.

Potrzeby jednak wynikające z rozwijającego się coraz silniej życia społecznego wymagają, by kobieta stała się istotą myślącą i rozumiejącą się dokładnie na mechanizmie życia współczesnego, a wtedy może dopiero zabrać się do działania.

Zakładanie dla kobiet szkół zawodowych i przemysłowo-gospodarczych jest rzeczą w dzisiejszych warunkach pierwszorzędnej wagi, ale jeszcze ważniejszą jest obmyślenie ich formy i celu.

Nasze szkoły przemysłowo-gospodarcze mu-

Kościołów i murów poklasztornych jest wiele w Królestwie, ale rzadko który nasuwa takie myśli. Wśród gwaru życia, w rojnych miastach, zapomina się o ich dawnych mieszkańcach. Ale taki w ciszy, na uboczu, na wzgórzu wśród zieleni stojący klasztorek, budzi dawne wspomnienia, pełny jest smętnego uroku.

Ale dość o tem, bo czas w drogę, bo przed hotelikiem stoją już wielkie wehikuły, „powozy", mające nas zawieść do Puław. Warto byłoby jeszcze zobaczyć kościół św. Anny, oraz przyjrzeć się zblizka całemu szeregowi ruin dawnych, ozdobnych szpichlerzy, ale pora już późna, wieczór zachodzi, a do Puław całe dwie mile...

Żegnamy więc Kazimierz i wjeżdżamy na najpiękniejszą w Polsce drogę. Ciągnie się ona na znacznem wzniesieniu nad Wisłą. Z lewej strony mamy widok wspaniale rozlewającej się rzeki, wzgórzy i lasów, z prawej strony zasłaniają nam „świat dalszy" same wzgórza, poprzerzynane malowniczemi wąwozami. Słońce zachodzi — purpurowa łuna oblewa skały i zieleń. Wisła już to błyszczy srebrną łuską, już to płynie jak stopione złoto, już to wygląda jak mozajka z olbrzymich plam szmaragdu, purpury i granatu...

Po prawej stronie widzimy wśród zieleni kontury owych sławnych szpichlerzy, które stoją już to pusto, już to służą jeszcze mieszkańcom, ale nie jako składy złotej pszenicy i srebrnego żyta; w jednym z nich znajduje się browar, w innym garbarnia. A tuż obok nich ciągnie się szereg schludnych domków, w których przeważnie mieszkają rodziny rybackie, czego dowodzą porozpinane sieci. A koło tych domków, znowu jak okiem zasięgnąć, widać sady śliwkowe, bo niema chyba miejsca w Polsce gdzieby ten owoc na taką skalę był hodowany.

Droga wysadzona jest olbrzymiemi topolami (sokorami), rówieśnicami prawdopodobnie słynnych topoli wilanowskich sadzonych ręką króla Jana. Wspaniałe te, pękate, mające nieraz po 6—8 metrów obwodu olbrzymy, ciągną się przeszło milę, a stykając się ze sobą wierzchołkami gałęzi stanowią jakby zielone sklepienie jakiejś olbrzymiej galerji kolumnowej.

O jakie trzy wiorsty za Kazimierzem minęliśmy ruiny zamku w Bochotnicy. Ledwie zdaleka wśród drzew dojrzeliśmy na wzniosłem wzgórzu szczątki murów, które według podania miał wznieść wspominany już Maćko herbu Napiwoń Borkowic, a w których pod jego dozorem miała mieszkać Esterka, gdy jej pan i władca przebywał w zamku kazimierskim.

Po godzinie jazdy, zupełnym już zmrokiem, przejeżdżamy przez Włostowice. Kończy się aleа olbrzymich topoli, na miejsce ich po obu stronach drogi wznoszą się wspaniałe lipy.

Wjeżdżamy wreszcie w szereg domków i will— to „godne monarchów" Puławy. Woźnica wskazuje nam ręką stojący w oddali słynny pałac puławski, ale już jest tak ciemno, że nic rozróżnić nie możemy...

Stanęliśmy przed hotelem... Bristol. A jakże! Małpiarstwo zagranicy stworzyło u nas dziesiątki Bristolów. Jest Bristol w Warszawie, jest we Lwowie, czemu niema być w Puławach? Nazwa ta służąca zazwyczaj wielkim pierwszorzędnym hotelom, tem śmieszniejszą jest w Puławach. Swoją drogą hotelik wcale dobrze się przedstawia — jest w nim jakiś teatrzyk, w którym grano, jest sala balowa i restauracja. Oczywiście poszliśmy do restauracji. Zupełnie dobra, ma przytem ceny przystępne i... wesołego gospodarza. Sypie dowcipy, jakby się urodził redaktorem pisma humorystycznego. Ale lepiej zrobił, że wziął się do kuchni i hotelu. To lepiej popłaca.

W Bristolu jednak nie wszyscy się pomieściliśmy. Połowa numerów była zajęta, druga zaś połowa nie wystarczała dla naszej wycieczki. Ale nie było obawy o spanie pod gołem niebem. Serdeczna gościnność naszej puławskiej przewodniczki zaradziła temu z góry. Wszystkie panie znalazły pomieszczenie w domu jej rodziny i u jej znajomych...

(c. d. n.). *K. Bartoszewicz.*

szą być przystosowane do naszych własnych potrzeb.

Zadanie kobiety Polki gospodyni, jako obywatelki ujarzmionego narodu, pokutującego za lekkomyślność i wady w naturze naszej leżące, jest trudniejsze i odpowiedzialniejsze aniżeli każdej innej; innych zatem dróg musi ona szukać na odrodzenie swego społeczeństwa.

Leży przed nią praca potrójna:

1) Podniesienie poziomu kultury gospodarstwa domowego.

2. Sprowadzenie go na tory wytwórczości.

3. Stworzenie pól do zarobkowania w zakresie gospodarstwa dla kobiet inteligentnych.

Szkoła więc gospodarstwa domowego w przyszłej swej organizacyi te trzy dążności musi mieć na celu

Cel pierwszy osiągnąć się da przez zakładanie szkół gospodarstwa domowego, traktujących naukę popularnie i praktycznie

Cel drugi osiągnie się przez szkołę pełną, ścisłą, obejmującą całokształt gospodarstwa kobiecego.

Cel trzeci przez łączność gospodarstwa miejskiego z gospodarstwem wiejskiem i zawodowemi instytucyami w miastach, co już nawet szkoła pełna w organizacyi swej uwzględnić musi.

Szkoły odpowiadające celowi pierwszemu nie są nowością w szkolnictwie naszem po miastach. Popularyzujące wiedzę w zastosowaniu do gospodarstwa domowego opierają się na praktycznem ćwiczeniu w gotowaniu i porządkowaniu kuchni i t. p. Teorya i praktyka uzupełniają się tu wzajemnie. Jest to jednak tylko jedna gałąź gospodarstwa domowego, nie pogłębiona wcale i nie obejmująca całej jego rozciągłości i właściwej drogi.

Że gospodyni inteligentna podnosi kulturę życia domowego wpływem swoim, nie da się zaprzeczyć, lecz gospodarować dla przyjemności może tylko ta, która ma na czem i za co.

Gospodarstwo zaś nasze domowe kurczy się coraz bardziej, bo jego punkt ciężkości, przemysł i handel przeniósł się po za dom. Potrzeba nam zatem szkół gospodarczych i przemysłowych dla kobiet, któreby przygotowywały je do pracy gospodarczej społecznej poza domem.

Potrzeba nam szkoły gospodarstwa kobiecego, którаby obejmowała wszystkie gałęzie gospodarstwa i panowała nad niemi, kierowała i wytyczała ciągle drogę postępu równoległego z wiedzą. Przeznaczona dla miasta szkoła oprzeć się musi na warunkach życia miejskiego tak bardzo różnego we wszystkich swoich niemal szczegółach od swobodnego i skromniejszego życia na wsi lub w miasteczku, ale łączności ze szkołą gospodarstwa kobiecego wiejskiego nie może wykluczać, owszem iść z nią musi zgodnie i uzupełniać się wzajemnie, tak jak uzupełnia się miasto z wsią w swoich potrzebach. Co wyprodukuje wieś, miasto spożyje, lecz miasto dać musi wskazówki wsi, co produkować powinna, gdyż miasto jest konsumentem, a potrzeby jego są inne, wywołane odmiennym trybem życia i otoczenia.

Ta łączność wzajemna wsi, miasta i szkół zawodowych wytworzy dla kobiet pole bardzo obszerne i korzystne do zarobkowania, odpowiedniego dla osób o wyższem wykształceniu, ale o tem pomówimy na przyszły raz.

We Lwowie dnia 8/12 1910.

Marya Czerszykówna.

Pamiętniki z r. 1863

Kazimierza Sokalskiego, żuawa z pod komendy Rochebruna.

(Dokończenie)

Langiewicz zdradził, o tem dwóch zdań być nie może. Dyktator kilkodniowy i widoma głowa rządu narodowego przed piętnastu laty żyć przestał. Bóg go osądził, ludzie go sądzić nie powinni.

Historya styczniowego powstania i bojów z 1863 i 1864 roku w pozytywne szczegóły niebogata, a dotąd przytoczonych przezemnie faktów z dyktatury Langiewicza nie podająca, może i powinna zbierać daty, w celu uzupełnienia kiedyś w przyszłości wydać się mającego sądu.

Langiewicz sprawę narodu, ze smutną determinacyą targającego pęta, jako dyktator i wódz siły zbrojnej, po Królestwie, Litwie i Wołyniu rozszerzonej, pogmatwał, i uległ tendencyom partyi, która nie podzielała ogólno-narodowych dążeń co do odbudowania ojczyzny naszej przez zbrojne powstanie.

Od dnia samozwańczej nominacyi losy Langiewicza t. j. jego korpusu i całej sprawy narodowego powstania zachwiały się i do gwałtownego upadku posunęły. Z dniem nominacyi jego związek psychiczny pomiędzy nim a siłą zbrojną przerwany został, a z tego przerwanego stosunku wywiązała się nieufność, a w końcu wzajemna nienawiść kilkakrotnie objawiana.

Dyktator Langiewicz na wpływy stronnictwa, wrogo dla sprawy powstania usposobionego, nie reagował, owszem sam w szybkim tępie spowodował straszny i w swych skutkach bezprzykładny upadek.

Ten rozkaz gotowania wczesnego obiadu, te kolumny dymu ponad lasem się kłębiącego z porozkładanych przez nas ognisk, w dokładny sposób pozycye nasze zdradzających, po których to Moskale nas obeszli i otoczyli, to opuszczenie nas w chwili tak ważnej na pozycyach niezaopatrzonych, to wreszcie porozumienie się z władzami austryackiemi od kilku dni na niego i sztab jego wyczekującemi, to wszystko razem i każde z osobna wziąwszy, pozostawało w najściślejszem związku z uplanowanem wydarzeniem.

I zginęła młodzież w kwiecie wieku, poginęli starcy, zginął nieodżałowanej pamięci stary mój ojciec, który przed rozpoczęciem bitwy śmierć swoją przeczuł i przepowiedział, dając mi swe ostatnie błogosławieństwo.

I poległ mój stary ojciec, pozostawiając mi w spadku miłość ojczyzny, która przez całe jego pełne smutku życie była mu gwiazdą przewodnią.

Z 296 żuawów pod bronią stojących, po jednej bitwie dnia 18 marca pozostała szczupła, 82 ludzi licząca gromadka. Dwustu czternastu poległo lub poraniono. Z trzech nas Sokalskich, w bitwie tej czynny udział biorących, ani jeden w szeregach nie pozostał.

Długi szereg furgonów ciągnął ku granicy galicyjskiej, malejąc stopniowo w stosunku odwrotnym do oddalenia od ogniska rozpaczliwej bitwy. Stężałe ciała naszych bohaterów znoszono z wozów i grzebano je we Wiślicy, Opatowcu, Żabnie, Otwinowie i w innych przydrożnych wioskach

I żyją jeszcze uczestnicy owej heroicznej i zwycięskiej bitwy. Żyje jeszcze Filip Kahane, administrator ordynacyi łańcuckiej w Łańcucie bez prawej ręki, Józef Zwirkowski, właściciel dóbr w Królestwie Polskiem bez ręki lewej i Kamieński bez nogi. Kilka kalek bez rąk i nóg, a między nimi mój brat stryjeczny Walery, przeniosło się już w świat inny.

Z żyjących żuawów, o ile daty jeszcze zebrać mogłem, żyje jeszcze Kazimierz Sokalski, rolnik w Wadowicach, żyje jeszcze Henryk Roża, sekretarz ministerstwa spraw wewnętrznych we Wiedniu, Maurycy Kachane, urzędnik kolejowy w Tarnopolu, Alojzy Malawski, adwokat w Tarnowie, Dobiesław Szamet, radca sądowy w Nowym Sączu, Adam Idzikowski, nadinżynier konserwacyi dróg żelaznych na emeryturze w Krakowie tudzież Feliks Borkowski w biedzie pozostający w Krakowie.

Po latach czterdziestu kilku możnaby uronić z pamięci wiele dat poszczególnych wydarzeń w tymże pamiętniku podanych. Ponury obraz bojów tak się jednak wrył w moją pamięć, że obrót lat tylu nie zdołał go z niej usunąć. Pamięć moją tłumaczę tem, że na każde wydarzenie ważniejsze, na każde poruszenia i manewry wojenne natężałem uwagę do największego napięcia, chociaż wrażenia bitew silnie na mnie oddziaływały, chociaż dymem spalonego prochu byłem odurzony, chociaż oparem krwi ciekącej byłem półpijany.

Często też wspomnieniami zwracałem się w owe wzniosłe chwile, w obozie o chłodzie i głodzie z kolegami spędzone i w owe krwawe boje, gdzie wszystko straciłem, wszystko, prócz Boga na niebie. Z dni mojego bojowania wyrobiłem sobie kilka poglądów i uwag ważnych, które jakkolwiek do pamiętników nie należą, a które potomności podać uważam za swój obowiązek.

Każdy występujący do wstępnego boju i targający więzy w jakie nas zakuto, na swym wrogu powinien wywrzeć pewien efekt, co się szczególniej na Moskalach da zastosować, a to efekt przez zewnętrzny wygląd żołnierza.

Kawalerya wyćwiczona, odpowiednio umundurowana, przytem dosiadująca dobre i maścią dobrane konie, w majestacie swoich ataków potęguje się do niezwyciężoności, nawet przy dzisiejszej wydoskonalonej broni ręcznej.

Umundurowanie, jako zewnętrzny przymiot żołnierza ma pewne wpływy na moralną jego stronę i podnosi ją, na wrogu zaś, szczególniej na Moskalach, czyni wrażenie ich niskość niewolniczą im przypominające.

Na dowód tego twierdzenia mogą z ostatnich czasów posłużyć żuawi dobrze uzbrojeni i jednakowo umundurowani. Wzięci pod Grochowiskami do niewoli Moskale opowiadali, że tylko przed żuawami uczuwali trwogę i byli dla nich z pewnem uznaniem, a nawet oświadczyli gotowość służenia w powstaniu, byle tylko przydzielić ich do żuawów.

Drugą, również ważną rzeczą jest, aby znajomi razem ze znajomymi się grupowali i razem jedne kompanie, bataliony, czy pułki tworzyli.

W ten sposób do boju, choćby bardzo zażartego, występuje się śmielej i pewniej, boć przecie wobec znajomych i przyjaciół wszelkie tchórzostwo jest zupełnie wykluczone, dalej i to wzajemne zaufanie, że jeśli który znajdzie się w wyjątkowem położeniu, jakie we wirze bitwy przytrafić się może, znajomi z pewnością z narażeniem życia pomoc mu przyniosą. Na dowód tego może posłużyć piąty pułk ułanów naszych w 1831 r. pod Kuflowem; zdanie to również opieram na własnem doświadczeniu.

Na tych kilku uwagach kończę moje pamiętniki, do spisania których zachęcił i niejako zmusił mnie p. Sabin Garbusiński, dr. medycyny, wielki patryota, któremu z poczucia wdzięczności małą tę pracę dedykuję.

Wadowice, w maju 1910.

Kazimierz Sokalski.

Od redakcyi. Drukując pamiętnik szanownego weterana ostatniej naszej walki o niepodległość, pozostawiliśmy w całości wszystkie jego poglądy na ludzi i wypadki Winniśmy jednak zaznaczyć, że osoba Langiewicza spotyka się z różną oceną — od potępienia aż do wysokiego uznania. Takie zdanie, jak autor pamiętnika, wypowiada o nim między innymi Al. Zdanowicz w broszurze: „Dziesięć dni dyktatury“ (1901), chwali go natomiast bardzo autor „Historji dwóch lat“. Należy sprostować, że członkiem redakcji *Czasu*, przybyłym do obozu Langiewicza w sprawie dyktatury nie był Antoni Kłobukowski lecz Leon Chrzanowski.

Ziarnka mądrości życiowej.

Zestawił Edwin Hauswald.

— Natura ludzka potrzebuje podniet i zachęty — bez nich niczego ludzie nie dokażą.

— Zgubiony jest naród, który nie wie, że każda praca jest rzeczą szlachetną, a bezczynność wszelkiego rodzaju jest hańbą.

— Dążenia szczere i uczciwe wybijają się z czasem na wierzch.

— Ludzie nieraz tak się boją niepowodzenia, że unikają podjęcia rzeczy nawet dobrych i wzniosłych!

— Wiele złego da się łatwo z tego świata usunąć, gdy się na zamiar i czyn zdobędziemy.

— Piękne myśli i zamiary, bez zdolności do czynu, są tylko martwym ciężarem dla jednostki i społeczeństwa.

— Patrząc na działalność naszych współzawodników lub nieprzyjaciół, skorzystamy najwięcej, gdy zwrócimy uwagę na ich zalety i zasługi, a nie na ich wady i słabostki.

— Najlepszej pomocy udziela ten, który nas uczy, jak sobie samym pomagać powinniśmy.

— Pierwszym obowiązkiem mężów stanu jest staranie o zdrowie i dobrobyt swych rodaków.

— Opinia społeczna jest często nieuchwytną siłą, działającą wbrew zasadom zdrowego rozumu i radom ludzi doświadczonych.

— Wielką potęgą jest przesąd, z którego więzów trudno się wyswobodzić! Jak często mamy zgóry przygotowany sąd o rzeczy, której się jeszcze nie przypatrzyliśmy.

— Wykształcenie umysłowe nie jest jeszcze wszystkiem — to też różnica między człowiekiem wykształconym, a prostym, wnet się zaciera, gdy nędza, troski lub walki życiowe go złamią.

— Unikaj trosk niepotrzebnych; nie troszcz się o to co było, a zmienić się nie da,

ale staraj się o to co jest i być może, abyś był zawsze przygotowany.

— Rzecz przeznaczona do codziennego użytku, nie może być nigdy zanadto dobrą.

— Ile strat czasu, pieniędzy, ile zgryzot i nieszczęść możnaby uniknąć, gdyby szkoła uczyć mogła dobrze sztuki gospodarstwa domowego i życiowego.

— Upadek wielu przedsiębiorstw tem się wyjaśnia, że starano się zbyt dokładnie naśladować inne przedsiębiorstwa, które miały wielkie powodzenie.

Z naszego przemysłu i bojkotu.

Kwestya węglowa w Galicyi.

Wielekroć pod różnemi formami, czy to odczytów, czy broszur, podnoszono grożące Galicyi niebezpieczeństwo, że w własnym kraju, mając nieprzebrane skarby w ziemi ukryte, staniemy się niewolnikami ich właścicieli — Niemców. Jak zwyczajnie u nas interesują się tylko ci, którzy tu mogą stracić pieniężnie, reszta poza świadomością, że węgle są, że jest czem palić długo jeszcze, nie zajmuje się zupełnie tą sprawą.

Oto, co czytamy w broszurze inż. Franciszka Drobniaka:

„W najstarszych kopalniach galicyjskich w Jaworznie cała administracya, w rękach niemieckich, a językiem urzędowym język niemiecki. W kopalniach na orach obok Jaworzna, należących do t. zw. „Societe nonyme Miniere et Industrielle“ dyrektor, inżynierzy sztygarzy Niemcy; kopalnia cłowianki w Kętach pod Chrzanowem obsadzona wyłącznie prusakami, taksamo przedsiębiorstwa górniczo fabryczne Lowitschów w Trzebini jak i gwarectwo Czerna, oraz huta bieli cynkowej spadkobierców Geschego w Niedzieliskach. W kopalniach t. zw. polskich, to znaczy w galicyjskich zakładach górniczych w Sierszy (właściciel spadkob. ś. p. Andrzeja Potockiego, w części Niederöster.-Eskompt Gesellschaft), oraz w gwarectwie Brzeszcze — urzędnicy w kraju wprawdzie Polacy, ale centralna administracya wyłącznie niemiecka. Chyba te dowody wystarczą, aby największych optymistów przekonać, że już jest źle, a jeszcze gorzej być może!“

Zdaje się, że te słowa jasno tłumaczą położenie i to położenie trudne, bo niemal nie do naprawienia w tem złem, które już się popełniło, a jedynie w postępowaniu naszem dalszem możliwe do złagodzenia, przez silny zaś jedynie wytrwały opór dające się osłabić.

Obrazem tego niebezpieczeństwa przyszłości powinno być zestawienie wyłączności (t. j. wyłącznego prawa wiercenia na pewnym obszarze) na terenach węglonośnych, podanych w cyt. powyżej broszurze:

Wyłączności pruskich przedsiębiorstw zajmują	58	%
„ gal. zakładów górn.	9	„
„ Gwarectwa jaworznickiego	8	„
„ Gwarectwa Brzeszcze	7	„
„ towarzystw francuskich	8	„
„ inż. K. Skrochowskiego	5	„
„ Schazza	2	„
„ różnych drobnych właścicieli	3	„

Piękny obraz! Grozi nam więc zajęcie naszych bogactw na wyłączną własność obcą, co tem jest boleśniejsze, gdy się widzi powoli rozwijający się przemysł galicyjski. „Ponieważ konsumcya węgla jest miarą rozwoju przemysłu — czytamy w „Uwagach o handlu węglem w Galicyi“ p. T. Filippi, — dotyczącego kraju, więc dla porównania, które niestety dla Galicyi bardzo niekorzystnie wypadnie — podajemy niektóre cyfry statystyczne:

Roczna konsumcya węgla wynosi na głowę mieszkańca:

w Anglii	3900	klg.
w Stanach Zjedn. północnej Ameryki	3300	„
w Belgii	2820	„
w Niemczech	2210	„
we Francyi	1160	„
w Austro-Węgrzech (w ogólności)	515	„
w Galicyi konsumcya na głowę wynosi	320	

Jedna tylko Rosya z konsumcyą roczną 160 klg. na głowę mieszkańca stoi jeszcze dotąd niżej od Galicyi“.

Nie myślimy tu rozpisywać się szczegółowo, nie chcemy pisać odezwy do społeczeństwa polskiego; ten kto przeczyta tych parę słów, nie omieszka zapewne zapoznać się gruntowniej z tę kwestya, a w rezultacie każdy uczciwy Polak sprawę tę uzna za swą własną.

Nietyle tu znaczy bojkot obcych kopalń jednak, jak poparcie własnych. Może to jedno i to samo, ale zawsze łatwiej jest coś bojkotować niż popierać, bo pierwsze polega na samem ograniczeniu się np. w kupowaniu pewnych towarów, drugie zaś polega właśnie na kupowaniu własnych swoich wyrobów. A przecież to wszystko czynimy w interesie własnym, osobistym. Niemal każdemu z nas bliżej czy dalej interesowanemu zależy i zależeć powinno na jak najszerszym rozwoju swojskiego przemysłu.

Trzeba sobie bowiem uświadomić, że prócz tych węgli, które w kraju mamy, w olbrzymiej ilości, bo 53% sprowadza się rocznie do Galicyi ze Śląska pruskiego tzw. pruskich 145.000 wagonów wartości 22 milionów kor. Tyleż pieniędzy wywożą prusey przemysłowcy, śmiejąc się w kułak z naszego patryotyzmu.

„Jest rzeczą wprost niezrozumiałą — czytamy w „Uwagach“ — jak społeczeństwo, które z całą — wszelkiej pochwały godną — konsekwencyą bojkotuje kilka paczek pruskich guzików, z zimną krwią może patrzeć na import setek tysięcy wagonów pruskiego węgla“. Prawie, że zupełnie słusznie. Prawie zupełnie, bo to nie jest wcale takie niezrozumiałe, boć przyzwyczailiśmy się wszystkim wierzyć, wobec każdego być bardzo rycerskim, ot, dawnem przysłowiem polskiem: „zastaw się, a postaw się...“ Gdyby autor powiedział: smutne to, że jeszcze nie przejęliśmy się ideą patryotyzmu codziennego życia“, uwierzyćby mu trzeba zupełnie.

I faktycznie właściwie jesteśmy w tem położeniu, że nie wiemy, które kopalnie są czysto polskie i godne poparcia, bo wszędzie niemal, prócz drobnych niewielu, znajdzie się jakiś punkt drażliwy, o który musi się zaczepić i który równocześnie nie dozwala nam tej lub owej kopalni popierać.

Zresztą w sprawie tej w jak najkrótszym czasie starać się będzie Koło akad. „Straży Polskiej“ skorzystać z obszernych, wyczerpujących materyałów dostarczonych mu do dyspozycyi przez znakomitego znawcę tych stosunków. *B. St. R.*

Kółka rolnicze a przemysł krajowy.

Wspominaliśmy o dziwnej opiece, jaką otacza Zarząd „Kółek rolniczych“ czekoladę Suchards (czytaj artykuł w nrze 31 *Straży*). Dodajemy tutaj jeszcze jeden szczegół. Oto *Przewodnik kółek* oświadcza, że Zarząd zawarł umowę wprost z Suchardem, na mocy której będzie mógł sklepom Kółek odstępować jego czekoladę po cenach fabrycznych dla domów komisowych „z opustem co najmniej 4 procent dodatkowego rabatu od fakturowej kwoty“. Tymczasem *Kupiec polski* oświadcza, że to dobrodziejstwo jest bardzo wątpliwej wartości, gdyż „każda hurtownia sprzeda chętnie tę czekoladę z opustem od cen fabrycznych 5 do 7 procent, a przy odbiorze 25 kilogramów opłatnie do każdej stacji“. Mając monopol. dodaje *Kupiec*, mógłby Zarząd swemi zleceniami zasilać nową fabrykę krajową Piaseckiego...

Prócz tego wskazuje *Kupiec* na inną błędną informację *Przewodnika kółek rolniczych*, który „oferuje zapałki szwedzkie w cenie za 100 pak 88 K, a przy odbiorze za 40 K opłatnie — „wówczas gdy każda hurtownia krakowska sprzedaje je w cenie 84 K, a opłatnie przy odbiorze za 22 K i to towar z fabryk krajowych pochodzący.

Z naszej strony dodamy, że pomiędzy ogłoszeniami *Przewodnika kółek rolniczych* znajdujemy sporo ogłoszeń firm obcych, a między innemi ogłoszenia o takich fabrykatach, których „ceny i warunki nabycia“, podaje Zarząd główny kółek, lub których tenże Zarząd „przyjął zastępstwo“. A są to fabrykaty, które konkurują z wyrobami krajowemi.

Zastrzegamy się jednak, że przytaczając te fakty nie myślimy stawać po stronie *Kupca* w walce, jaką prowadzi z Kółkami rolniczemi. Gniew *Kupca*, że Zarząd kółek „rozwija nadzwyczajną gorliwość w zakładaniu nowych sklepów spożywczych“ jest tylko dla Zarządu kółek pochwałą. Pragnęlibyśmy jednak, aby ta chwalebna gorliwość szła w parze z popieraniem przemysłu krajowego, bo jeżeli za złe bierzemy temu lub owemu kupcowi, który sprowadza i popiera towar obcy, to od doniosłej instytucyi społecznej, za jaką uważamy Kółka, musimy tem więcej wymagać liczenia się... z obowiązkiem.

Zaprzepaszczona Rydzyna.

„Dziennik Poznański“ pisze: „Sąd rzeszy w Lipsku odrzucił rewizję hr. Potockich, żądających przyznania im praw agnatów do ordynacyi rydzyńskiej. Sąd Rzeszy oparł wyroki na stwierdzeniu ze strony sądu nadziemiańskiego w Poznaniu, który oświadczył był, że „wedle jego przekonania“ testator, ks. August Sułkowski w r. 1783 miał tylko na myśli pierwszą i drugą generacyę hrabiów Potockich, jako uprawnionych do przystąpienia do ordynacji, gdy tymczasem w rzeczywistości przystąpienie to nastąpiło dopiero w trzeciej generacji.

Sąd nadziemiański uznał, że brzmienie aktu ordynacji przemawia za hr. Potockimi, wykombinował jednak rzekomą wolę testatora „z całego związku testamentu“.

Głównie ułatwiła rządowi sprawę opinia prof. prawa rzymskiego Kippa z Berlina, który zręczną djalektyką podsunął rządowi możliwość takiego tłumaczenia aktu ordynacji. Opinia ta spowodowaną została nie z ramienia rządu, ale na zamówienie adwokata Lowenfelda w Berlinie, który zastępował hr. Antoniego Wodzickiego, członka austryjackiej Izby panów i jego pełnomocnika, świeżo uszlachconego dra Natana Lowensteina, posła do austryackiej Rady państwa“.

Zastępca hr. Wodzickiego przy układach z rządem pruskim dr. Natan Löwenstein ogłosił w „Dzienniku Polskim“ obronę swego postępowania, w której twierdzi między innymi:

„Nieprawdą jest, aby hr. Wodzicki sam, lub przez swego pełnomocnika zamówił opinię prof. Kippa dla roszczeń Tomasza hr. Potockiego nieprzychylną; prawdą jest natomiast, że hr. Wodzicki i hr. Potocki tak dalece wystrzegali się wszelkiego wpływu na tok dochodzenia praw ze strony rzekomych oczekiwaczy ordynacyi rydzyńskiej, że zaniechali dotąd publikacyi dziejów ugody, zawartej z rządem pruskim przez ś. p. księcia Sułkowskiego, zapowiedzianej i przygotowanej przez dra Dziembowskiego, a to jedynie dlatego, że konieczny w takiej publikacyi rozbiór stanu prawnego mógłby osłabić szanse zamierzonych przeciw skarbowi pruskiemu procesów.

„Co się tyczy udziału Dra Loewenfelda w tej sprawie, który był długoletnim pełnomocnikiem Antoniego ks. Sułkowskiego i egzekutorem jego testamentu, to pp. A. W. i H. P. ani też zastępca prawny hr. Wodzickiego nietylko nie dawali żadnych poleceń ale mu wprost zabronili, aby w ich imieniu brał udział w tym sporze“.

Na te twierdzenia odpowiada konserwatywny „Dziennik Poznański“ jak następuje:

Faktem jest, że w procesie hr. Augusta Potockiego przeciw fiskusowi oficyalny zastępca fiskusa w Lesznie adwokat Schluter nie wiedział wcale o zamówionej opinii prof. Kippa; bo dwa dni przed jej nadejściem wręczył kilkuarkuszowy wywód, popierający rzekome prawa fiskusa, tak sprzeczny z opinią prof. Kippa — że wręczając tę opinię sądowi oświadczył, że cofa swój wywód!

Opinia ta prof. Kippa kosztowała oczywiście znaczną sumę, wykluczonem jest jak najzupełniej, aby p. Loewenfeld wyłożył tę sumę z własnej kieszeni, a spadek po ks. Antonim Sułkowskim był długami przeciążony. Kto więc zapłacił za tę opinię?

Zresztą panowie hr Wodzicki i dr. Loewenstein nie mogą się na to żadną miarą odwoływać, że Loewenfeld formalnie ich w procesie nie zastępował, bo tego zapewne nie odważą się zaprzeczyć, że zastępował ich interesy i że oni obiecali honoraryum! Wykluczonem zatem jest, jakoby działał w interesie ich wyraźnemu zakazowi.

Społeczeństwo nasze nie zarzuca hrabiemu Antoniemu Wodzickiemu i hr. Henrykowi Potockiemu, że wobec wątpliwości sprawy wogóle z rządem wchodzili w pertraktacye, ale zarzuca im

1. że umożliwili rządowi rozkolonizowanie ordynacyi rydzyńskiej, która wedle statutu była niepodzielną;

2. że zwolnili rząd pruski z obowiązku wychowywania trzydziestu młodzieży polskiej;

3. że zawierając układ mieli odwagę przystać na ustęp: „przyrzekają nic nie podjąć, coby mogło utrudnić lub uniemożliwić dojście do skutku aktu familijnego, albo też prawomocność jego zakwestyonować“; bo znaczyło to, że zabroniono im ratować praw agnatów, choćby mieli dane na to;

4. że wypełniając ten uwłaczający im obowiązek kontraktowy, zamiast ostrzedz agnatów przed grożącem rozwiązaniem majoratu, trzymali przebieg układów przed agnatami w tajemnicy, pomimo, że przez swych zastępców byli się przedtem dowiedzieli, że kilka linii agnatów jest zdecydowanych z pretensyami swemi do ordynacyi wystąpić;

5. że wybrali zastępcą interesów swych p. Loewenfelda, który zastępował także skarb pruski w tej sprawie!!

Kącik językowy.

Język... emigracyjny.

Jeżeli emigracja jest wogóle epidemją, to ogniskami tej zarazy są wszelkie towarzystwa emigracyjne. Choćby najpiękniej się nazywały, choćby głosiły, że z najczystszych humanitarnych uczuć chcą opiekować się emigrantami, choćby nawet dzięki tej bladze otrzymywały subwencje krajowe, wszystkie one są prostem przedsiębiorstwem, obliczonem na zyski, biorącem prowizje od dostarczonego żywego towaru. Trudno o wstrętniejszy zarobek, o obrzydliwszą działalność. Tyją one z nędzy obałamuconych biedaków, przynoszą wielką szkodę społeczeństwu.

W pogoni za groszem, towarzystwa te kierują emigrację do Brazylii, wiedząc dobrze, że kraina ta warunkami swemi nie odpowiada potrzebom chłopa polskiego, że choć niejeden i tam da sobie radę, to znaczna część pójdzie na zatratę, a co najgorsza: lud ten przepadnie raz na zawsze dla macierzy. Emigracja do Stanów Zjedn. półn. Ameryki, to emigracja na zarobek — chłop oszczędza, zbiera grosze, przesyła je swoim i przeważnie powraca. Ale emigracja do Brazylii, to pozbawienie kraju rąk i kradzież dusz narodowych. A tę właśnie emigrację popierają towarzystwa emigracyjne, bo za każdą duszę im płacą. Pod marką filantropji i patrjotyzmu wygłaszane są odczyty, wydawane pisma, broszury. Wprawdzie, aby większe obudzić zaufanie, mówi się w tych odczytach, pismach i broszurach o pewnych niedogodnościach, ale wyliczone strony ujemne znikają wobec dodatnich. Sens moralny: jedź bracie do Parany!

Opiekę nad emigrującym ludem polskim rozciągają nietylko swoi. Oto w Budapeszcie wychodzi dwutygodnik litografowany p. t. Atlas, zapewne w kilku językach, a między innymi w polskim. Mamy przed sobą jego numer 13. Treść Atlasu wyłącznie emigracyjna, a każdy artykulik to zachęta do emigracji. Przytaczamy ich kilka, aby dać czytelnikom sposobność zapoznania się z polsko-węgiersko-emigracyjnym językiem:

„4-y grudzień 1910

Jedna milliarda z Ameryki.

Dopiero obecnie dowiedziano się z dat statystycznych, że emigranci w latach 1906, 1907 i 1908 więcej jak milliard koron przesłali do Austro-Węgier, a to:

1906	366	millionów koron
1907	420	„ „
1908	270	„ „

Suma: 1056 millionów koron.

Austro-Węgry mają do zawdzięczenia pracowitości i oszczędności tym, co wskutek biedy kraj opuścili, że ma finansową równowagę w związku z innymi krajami.

Kara dla powracających.

Od emigrantów już bardzo często słyszeliśmy skargi, że stawiano im różne przeszkody, by ich do emigracyi nie dopuścić. Tu nic nie pomaga. Ustawa jest ustawą. Całkiem nowo jest, że powracającym do domu często dokuczają i tychże karają. Za co, żaden człowiek tego nie wie. Przypuszczać należy, że ludzie powracające z Ameryki, nawet biedni, chętnie widziane są. Potrzeba przecież siły robocze, jak często o tem słyszeć i czytać. Zdaje się, że policya graniczna o tem nie słyszy i nie czyta...

40000 dollarów cła.

Za często słyszanego twierdzenie, że niemieckie parowcy u publiczności internacyonalnej najwięcej wartują, został dostarczony niedawno dowód cłem, którego pasażerowie parowca cesarzowej Augusty, hamburgsko-amerykańskiej linii przy przybyciu do Nowego Jorku zapłacili.

Okręt miał nad 940 pasażerów. Oclenie z Europy przywiezionych kosztowności szło w porządku, a urzędnicy byli (wyjątkowo) przekonani, że także i rzetelne, albowiem wpłynęło w jednej chwili 40000 dolarów do kasy Uncle Sam.

Gottscheeberowie (kuczeber).

Dziwnem jest stosunek emigracyjny w małym „Gottschee" niemieckomownej wyspie krainy. Gottscheea niemoże wskutek braku ziemi wyżywić swoich mieszkń ców. Większa część tychże szukają jako handełesy w całej Austryi zarobek. Prawie taka sama część idzie corocznie do Ameryki. Gottscheeberowie jednakże tęsknią bardzo za swoim krajem. Są Gottscheeberowie, którzy siedm do ośm razy ocean przejechali. Wiele pozostają cztery do pięć lat w Ameryce, potem powracają i zjadają ze swoimi zaoszczędzony grosz. Tak samo robią wiele dziewczęta, które w Ameryce mają dobrą służbę, a potem ze swoimi oszczędnościami po krótkim lub dłuższym czasie do domu wracają".

Wydawnictwo Atlasu zajmuje się i innymi interesami. Oto w liście do naszej administracyi „ofiaruje pośredniczyć dla gazet ogłoszenia" i „odpowiednio temu" uprasza nas o „zapodanie swoich należytości inserceyjnych."

Skarga oficera.

„Chociaż jestem z przekonania żołnierzem, a z zawodu oficerem austryackim" — mówi mój stary znajomy rotmistrz K... — „nie przestałem jednak być Polakiem, ani się też tego nigdy nie zapieram lub wstydzę. Minęły na szczęście te czasy, gdy przyznawanie się do polskości w wojsku było pewnego rodzaju odwagą i poświęceniem. To się zmieniło — nie zmienił się jednak stosunek polskiego społeczeństwa do wojska.

„Czyby pan nie zechciał zwrócić uwagi szerszego ogółu" — ciągnie dalej mój informator — „że przecież to nie dobrze świadczy o naszem społeczeństwie, gdy zawsze i wszędzie do żołnierza-Polaka tylko się po niemiecku przemawia. Nie wypada mi za każdym razem awanturować się, a przecież krew się we mnie burzy, gdy wszędzie: w sklepie, restauracji, kawiarni, u fryzjera, na dworcu kolejowym, słowem, gdzie się tylko pokażę, słyszę zawsze pierwsze do mnie zwrócone wyrazy tylko w niemieckim języku. Chciałoby się wszystkich panów posłać, jeżeli nie do.... wszystkich djabłów, to przynajmniej do Czech lub Węgier, a przekonaliby się, że tam nawet do wojskowych przemawiają tylko w języku krajowym.

„Ta nasza grzeczność dla obcych, ta niedorzeczna chęć popisywania się znajomością obcego języka, a raczej kaleczenia obcego i pokazania, że się go jako tako zna, byle tylko nie używać swojego, jest, mojem zdaniem, czemś nieskończenie śmiesznem i wprost karygodnem. Wszak i rodowity Niemiec, z którym pragniemy utrzymać stosunki handlowe — nie obrazi się i nie weźmie za złe, gdy się do niego pierwsze słowo po polsku przemówi; pocóż więc przemawiać tak do swoich, czynić im tem wstręt i przykrość dlatego tylko, że noszą na sobie austryjacki mundur.

„I jeszcze jedna uwaga w tej samej materji.

„Proszę posłuchać, jak nasi oficerowie Polacy w rozmowie między sobą prawie zawsze używają niemieckiego języka, i przysłuchać się oficerom trenu, który przeważnie z samych Czechów się składa. Tamci nie tylko, że między sobą mówią tylko rodowitym językiem, ale tu, u nas w kraju, starają się z osobami, z któremi mają styczność, mówić tylko po polsku, a przecież władza za złe im tego nie bierze, a publiczność z uznaniem podnosi to poszanowanie naszej narodowości.

„Może tę słuszną uwagę, płynącą z pod austryjackiego munduru, lecz z gorącego serca polskiego, wezmą na rozum ci, z którymi z konieczności obcować muszę, bo sobie nie zaszkodzą z pewnością, a przestaną drażnić mnie i mnie podobnych, którzy mimo wierności sztandarowi, pod którym służą, zachowali jednak przywiązanie do polskiego języka, tem gorętsze, że przez cały szereg lat przymusowego pobytu poza krajem tembardziej do niego tęsknili i są go dusznie spragnieni.

„Ale my zawsze jednacy. Szlachcic na wsi do arendarza żyda mówi po niemiecku, do chłopa po rusku, z dziećmi własnemi — dla wprawy — rozmawia po francusku, a własny język jest tym kopciuszkiem, którego się tylko w ostatniej konieczności używa, i dopiero dłuższy, przymusowy pobyt poza granicami kraju uczy nas, jak tego skarbu strzedz i jak go kochać należy". *(ąz.)*

Uwagi.

W numerze 31 *Straży Polskiej* umieściliśmy artykuł „Tragiczne losy", w którym autor, wybitny pisarz i publicysta, zwrócił uwagę na niesympatyczne zjawisko w naszej literaturze, a mianowicie na coraz wzrastający zastęp pisarzy, obojętnych narodowo, obcych nam duchem, myślących a nawet piszących po niemiecku. Artykuł ten przedrukowało w części lub w całości kilka pism lwowskich i warszawskich; snać uznano trafność dyagnozy tej „choroby pasorzytnej, zanieczyszczającej nasz organizm narodowy".

Zaczepieni jednak milczą, snać bronić się nie mogą.

W tymże samym numerze podaliśmy za *Słowem Polskiem* artykuł o „naszej znajomości geografji ojczystej". O ten temat autor niniejszych „uwag" nieraz potrącał; stąd też wdzięczny jest p. Nakęskiemu, że obszerniej go omówił.

Świeżo ta „znajomość" nowym cieszy się sukcesem. W kilku naszych pismach z 22 listopada pojawiła się wiadomość telegraficzna, że na kolei warszawsko-wiedeńskiej zawalił się most na Wiśle w chwili, gdy przejeżdżał pociąg towarowy. Wiadomość tę podały pewne pisma jako telegram „własny" (oczywiście!) z Warszawy, drugie jako telegram z Wiednia W rzeczywistości był to telegram z Berlina, przesłany do pism wiedeńskich, a z nich przetelefonowany do Lwowa i Krakowa.

Otóż w Wiedniu i Berlinie wolno wreszcie nie wiedzieć, że kolej t. zw. warszawsko-wiedeńska prowadząca od Warszawy do Granicy, niema mostu na Wiśle, bo przez Wisłę tor jej nie przechodzi, ale wstyd o tem nie wiedzieć naszym dziennikarskim geografom.

Owa niewielka katastrofa (na Wiśle byłaby straszną oczywiście) zdarzyła się pod stacyą Łazy, tuż prawie, bo o 3 mile, przy Granicy.

Załamał się mostek nad jakimś strumykiem....

Jeden z dzienników „połapał się" i opuścił Wisłę w telegramie. Drugi wyraził w przypisku powątpiewanie co do Wisły, ale dziwił się, że „pisma warszawskie nie podają wiadomości o tej katastrofie". Znów omyłka, bo podały, ale o trzy dni wcześniej niż z Berlina drogą na Wiedeń doszła do Galicji. Nie raczono jej zauważyć w pismach warszawskich, bo nasze redakcje wyjmują z nich tylko wiadomości o teatrze, zbrodniach, kabaretach, ślubach i skandalikach.

Jest na to bardzo prosta rada, aby zapobiedz takiej znajomości geografji ojczystej. Oto należałoby szanującym się pismom posiadać w gronie redakcyi przedstawicieli innych dzielnic. W każdej poważnej redakcji galicyjskiej powinien się znajdować jeden wielkopolanin i jeden „kongresowiak", w każdym poważnym dzienniku warszawskim jeden wielkopolanin i jeden galicjanin. To samo odnosi się do pism poznańskich.

Ale i nie dlatego tylko tacy przedstawiciele dzielnic byliby w redakcjach potrzebni. Tak, jak geografję, znamy wogóle wszelkie nasze zakordonowe stosunki. Stąd piszemy o nich i oceniamy je zarówno śmiesznie, jak fałszywie. Mamy poprostu pisma prowincyonalne, krajowe: warszawskie, krakowskie, lwowskie, poznańskie, ale nie mamy pism ogólno-polskich. Brak nam dziennika, któryby dawał obraz tego, co się dzieje na ziemiach całej dawnej Rzeczypospolitej. Doszliśmy już do tego, że obywamy się bez korespondentów z innych dzielnic (dawniej miał ich każdy dziennik), a poprzestajemy na wycinaniu brukowych wiadomości, które umieszczamy pod działem: Ziemie polskie. Ale rozprawiamy za to wiele o jedności narodowej, o potrzebie wzajemnego poznania się i zrozumienia. Wołamy: niema między nami granic! — a nad ustaleniem duchowych między nami kordonów pracujemy gorliwiej, niż wszyscy nasi „najserdeczniejsi".

Wspominając o niezbyt szczęśliwym projekcie przewiezienia zwłok Konopnickiej na Skałkę, ośmieliłem się zapytać: czy to rozumnie pozbawiać na rzecz Krakowa inne miasta, lub prowincye nasze grobów, przed którymi chylą się wszystkie czoła.

Jako dowód podałem grób Syrokomli na Rosie wileńskiej „Ten grób — pisałem — przemawia tam, budzi, jest drogą pamiątką, świętością. Czy miałby takie znaczenie w Krakowie. Te prochy stamtąd zabrać byłoby świętokradztwem!.

Że nie było w słowach tych przesady, stwierdził... rząd rosyjski. Dzienniki donoszą, że w dzień zaduszek otoczono grób Syrokomli policyą dla zapobieżenia demonstracyom, za które rząd uważa śpiewy żałobne corocznie przy grobie poety przez mieszkańców Wilna wykonywane.

A więc ten grób przemawia, budzi...

Gdyby Syrokomla spoczywał na Skałce, w dzień zaduszny około jego grobowca panowałaby zupełna cisza, taka sama jaka panuje koło grobowców Kraszewskiego, Pola, Asnyka, Lenartowicza...

O ileż inne miałby znaczenie grób Kraszewskiego lub Lenartowicza na Powązkach w Warszawie? — jaki hołd odbierałyby szczątki Pola w Lublinie, gdzie się urodził, lub we Lwowie, gdzie spędził większą część życia?—ileż kwiatów w dzień zaduszny spoczęłoby na grobie Asnyka w Kaliszu, szczycącym się, że był kolebką poety. *kb.*

Wydawnictwa gwiazdkowe.

Z nadesłanych nam książek dla dzieci i starszej młodzieży wymieniamy tych kilka, które uważamy za najstosowniejsze dla młodzieży polskiej.

Niespodzianki życia. Przez *A. Domańską*. Powieść dla panienek (Arct, Warszawa).

Dzieje bohaterki Marysienki od pierwszej niemal strony pochłaniają uwagę czytelniczek. Książka napisana barwnie i żywo, obfituje w przykłady pięknych charakterów, jak Jadwisia i Michał Horski, których dzielność wywrze zapewne wielkie wrażenie na młodociane czytelniczki.

Wspomnienia młodej dziewczyny. Przez *Z. Bukowiecką* (Arct, Warszawa). Z 4 ryc. W Jasieńskiego.

Zabawne przygody, kłopoty, zmartwienia i radości wiejskiego podlotka, który znalazł się w Warszawie i nie może sobie dać rady z życiem wielkomiejskiem, wypełniają treść książki, obfitującą w nader cenne rady i wskazówki. Książka ta stanowi nadzwyczaj stosowny podarek dla dorastających panienek.

W puszczy litewskiej. Przez *St. Buraczewską*. Powieść historyczna z XII w. Z 4 rys. (Arct Warszawa).

Obok walk pogańskich Litwy z Tatarami, najazdów, połączonych z okrucieństwem i rozbojem, mamy tu obraz życia domowego Litwinów, a ich wierzenia, podania, obrzędy ślubne i pogrzebowe, są przedstawione wiernie i z ujmującą prostotą. Do piękniejszych obrazów należą: Wesele Aleksoty, porażka Krzyżaków na bagnach i pogrzeb Wigunda. Kończy opowiadanie wyprawa czterech ośmio- i dziesięcioletnich bohaterów, którzy odważnie wybierają się, aby pomścić na Krzyżakach krzywdy kraju i zniewagi bogów. Naturalnie wyprawa ich kończy się powrotem do domów rodzinnych.

Witoldowi synowie. Przez *J. Kuka*. Powieść historyczna. Z 4 rys. St. Sawiczewskiego (Arct, Warszawa).

Tragiczne dzieje małych synków Wielkiego księcia Litewskiego, Witolda, poruszą niejedno młode serduszko. Chłopcy, oddani przez Witolda rozgoryczonego prześladowaniami Skirgiełły, jako zakładnicy zakonowi krzyżackiemu, więzieni długo i prześladowani, zostali wreszcie otruci przez podstępnych krzyzaków. Wzruszający ten obrazek polecić można do czytania dzieciom młodszym i starszym.

Grunwald. Przez *W. Przyborowskiego*. Powieść historyczna dla młodzieży. Z 6 rycinami Bagieńskiego (Arct, Warszawa).

Czasy grunwaldzkie przedstawiają dla powieści historycznych bogaty i obfity materjał. Czytelnik z natężoną uwagą śledzić będzie za rozwojem akcji, przenosząc się w epokę jagielońską, odtworzoną historycznie wiernie, barwnie i zajmująco. Czytając tę piękną książkę, młodzi czytelnicy nieraz uśmiechną się wesoło, nieraz trwożnie zabije im serce, najczęściej jednak płomień zapału w oczach ich błyskać będzie, by ustąpić miejsca żalowi, iż potęga ta, świetność i bohaterstwo do przeszłości tylko należą.

Na zgliszczach Zakonu. Przez *Z. Morawską*. Powieść dla młodzieży, z rycinami (Gebethner, Warszawa).

Imię autorki, zasłużonej na polu piśmiennictwa dla młodzieży, jest już dostateczną dla książki rekomendacją. A i tytuł mówi, że porusza ona drogie sercu naszemu wspomnienia. Powieść rozpoczyna się zatargiem Polski z Zakonem, a kończy Unją horodelską. Są w niej obrazy z życia Krzyżaków i Litwy. Występuje w powieści i młoda bohaterka Sala Bobrownicka, która bieży za wojskiem, aby opatrywać rany, a potem udaje się na Litwę w celach krzewienia wiary, a nawet bierze udział w boju pod murami Wielony.

Moje wakacje na wsi. Przez *Mieczysława Brzezińskiego*. Z rycinami (Gebethner, Warszawa).

Jest to jedna z najlepszych książek dla młodzieży od 12—16 r. Autor przedstawia wieś polską, jej życie i zwyczaje, prace i zabawy, florę, faunę i t. d. Dużo wiadomości przyrodniczych i etnograficznych łączy się ze wspomnieniami historycznemi i opisami, bo młodzież w towarzystwie starszych zwiedza Kazimierz nad Wisłą i Lublin, gdzie na każdym kroku spotyka się z zabytkami przeszłości. Opowiadanie pełne życia— nawet dorośli przeczytają je z przyjemnością.

Oczywiście, że dla starszej młodzieży najstosowniejszym podarkiem jest Hołd Grunwaldowi, piękne album ilustrowane, uznane przez całą prasę za najpiękniejszą pamiątkę obchodu grunwaldzkiego. Dla prenumeratorów naszych cena albumu w stylowej oprawie wynosi tylko 4 K z przesyłką 4 K 50 h. Zgłaszać się należy wprost do biura Straży Polskiej.

P. L. N.

Zarząd główny P. L. N. powziął na ostatniem posiedzeniu szereg uchwał, mających ogólniejsze znaczenie.

Najpierw wybrano delegatów Ligi do „Komitetu obywatelskiego", urządzającego obchody narodowe we Lwowie. Delegatami głównymi zostali dr Korytko i dr Warmski, zastępcami prof. Hauswald i docent Bartel.

Sprawę projektowanego „Związku Towarzystw Polskich" przedstawił przewodniczący Zarządu, podnosząc, że utworzenie takiej organizacyi byłoby zwycięstwem idei łączności, wprowadzonej w życie przed dwoma laty przez Ligę Narodową. Myśl Związku Towarzystw objęta jest już programem wykonawczym P. L. N. i zasługuje na szczere poparcie ze względu na dobro ogólne — jest zresztą urzeczywistnioną w pewnym zakresie w samej Lidze Narodowej, do której obecnie należy kilka poważnych towarzystw. W razie nieudania się projektu tym razem — np. z powodu braku ludzi chętnych i odpowiednio uzdolnionych — będzie rzeczą Ligi Narodowej przeprowadzić tę piękną myśl w stosownej chwili.

P. Bartel oświadczył, że istnienie tak szeroko pojętego związku jest w zasadzie możliwem, że jednak utrzymanie jego trwale w dobrym stanie przedstawia ogromne trudności z powodu dążenia różnych partyj politycznych do narzucenia swej woli mniejszości, która w Związku powinna mieć zastrzeżone pewne prawa i odpowiedni wpływ.

Zarząd P. L. N. uchwalił popierać usiłowania zmierzające do utworzenia Związku opartego na rozumnych, dobrze obmyślanych podstawach, pozostawiając rozstrzygnięcie sprawy w razie potrzeby wybranym już do „Komitetu obywatelskiego" czterem delegatom *).

Na podstawie polecenia Wydziału Naczelnego powołał Zarząd do pracy Komitet Burs rękodzielniczych, złożony z p. prezesa Józefa Neumanna, pp. dra Bartla, dra Korytki, p. prof. Nowickiej i p. Krauzego z prawem doboru. Nadto zaproszono do Komitetu szerszego tychże burs wszystkich członków Wydziału i obu Zarządów P. L. N.

Rokowania w sprawie organu towarzystwa poruczono prezesowi.

Nadto postanowiono uprosić grono Pań i panów do komitetu zabawowego i rozdzielono ważniejsze zajęcia między chętnych do pracy członków towarzystwa.

Wyszukanie dobrego lokalu na zebrania tygodniowe członków P. L. N. poruczono Zarządowi Koła lwowskiego.

Do Delegatów i Komitetów Ligi Narodowej.

Zarząd główny zwraca uwagę Szan. Komitetów i Delegatów P. L. N. na następujące ważniejsze zasady pracy w naszem towarzystwie:

1. Szerzyć w swem otoczeniu myśli przewodnie i zrozumienie programu P. L. N.

2. Czuwać z urzędu swego nad tem, aby interesy zawodowe i ekonomiczne polskie w samym okręgu nie doznawały żadnej ujmy.

3. Jednać niestrudzenie nowych członków towarzystwu, a zachęcać wszystkich do zamawiania przedpłaty organu jego.

4. Rozdzielać między członków i zwolenników P. L. N. prace potrzebne dla dobra ogólnego; uwiadamiać Zarząd główny o sprawach ważnych dla narodu naszego.

5. Zachęcać wszystkich rodaków do składania podatku narodowego na rzecz P. L. N.

6. Wpływać osobiście na zbliżenie się i łączenie wszystkich oddanych sprawie polskiej pracowników, w szczególności zaś na łączność i zgodne postępowanie polskich towarzystw miejscowych.

7. Utworzyć Komitet P. L. N., składający się z zastępców miejscowych towarzystw i innych osób oddanych pracy społecznej i narodowej.

8. Czuwać nad tem, by Komitet ten zbierał się w miarę potrzeby, zastanawiał nad ogólnym kierunkiem pracy i postanowienia swe jak najprędzej wykonywał.

9. Komitety miejscowe P. L. N. powinny też zważać na trwały rozwój gospodarczy, techniczny i zdrowotny swych okręgów, starając się o to, by pobyt w nich był dla rodaków naszych korzystny i przyjemny.

10. Zająć się zbieraniem składek na polskie bursy rzemieślnicze.

11. Kwoty zebrane odsyłać z wykazami czekiem pocztowym do skarbnika P. L. N. we Lwowie.

12. Przed upływem roku złożyć Zarządowi P. L. N. krótkie sprawozdanie i wnioski swe na rok przyszły.

*) Uwaga. Jak się dowiadujemy z dzienników, odstąpił ów „Komitet obywatelski" od myśli utworzenia Związku, nie czując się widocznie na siłach, by temu zadaniu sprostać.

Wobec istnienia „Ligi Narodowej" i „Straży Polskiej" rzecz ta nie jest obecnie pilną, bo oba te towarzystwa narodowe są faktycznie Związkami dla spraw ogólno-narodowych, o które sumiennie wedle sił i możności dbają.

Odezwa Polskiej Ligi Narodowej.

I. Myśl przewodnia P. L. N.

Łączenie, organizowanie i używanie sił umysłowych, moralnych i ekonomicznych narodu polskiego do podniesienia jego żywotności, dzielności, odporności, jego kultury i dobrobytu drogą systematycznej pracy zbiorowej i wykonawczej.

II Zarys programu.

Nader obszerny zakres działalności Towarzystwa obejmuje najważniejsze działy życia kulturalnego i ekonomicznego naszego narodu, stanowi jakby syntezę ostateczną tego, co się na tem polu robi albo robić powinno. Zadaniem Towarzystwa jest wprowadzenie we wszystkie działy życia narodowego myśli przewodniej jasnej i krytycznej, ducha inicyatywy i energii, wytrwałości, metody rozumnej i ładu, zdolności do czynu połączonej z zastosowaniem odpowiednich środków materyalnych.

Czynności Towarzystwa podzielić można na kilka działów głównych, do których należą: dział inicyatywy, wpływu moralnego i wychowawczego, wpływu na opinię publiczną, dział organizacyi, dyplomacyi, życia ekonomicznego, obrony prawnej i dział pouczania (informacyi).

Każdy z nich obejmuje znowu szereg czynności szczegółowych, których załatwianie powierzonem być może albo organom Związku, albo też oddzielnym, po części istniejącym już towarzystwom.

a) Dział inicjatywy obejmuje wszystkie ważniejsze objawy życia narodowego, wchodzące w zakres działania Towarzystwa, z wyłączeniem spraw politycznych; podnietę do zwiększenia ruchliwości, zapobiegliwości i odporności Polaków, powoływanie komitetów obywatelskich do spełniania ważniejszych zadań, prace przygotowawcze do tworzenia użytecznych towarzystw, zakładów i przedsiębiorstw.

b) Wywieranie wpływu moralnego, kształcącego i wychowawczego na całe społeczeństwo, szczególniej w kierunkach dotąd zaniedbanych, jak podniesienie siły woli, energii i wytrwałości, przedsiębiorczości i twórczości na każdem polu, zdatności praktycznej do danych warunków życiowych, kształcenie samodzielności i dzielności, zwalczanie wad narodowych, wreszcie doskonalenie naszego języka.

c) Wpływanie na opinię publiczną przez nieustanne badanie głównych objawów i zmian życia spółczesnego, wyjaśnianie ich przyczyn, wydawanie odezw, poleceń, dzieł i czasopism, odbywanie zebrań, odczytów, dyskusji, urządzanie uroczystości narodowych, agitację wszechstronną, w celu podniesienia ducha, odporności i kultury narodu.

d) Organizacja. Tu należy troska o prawidłowy ustrój narodu, tworzenie Kół miejscowych Ligi, łączenie pokrewnych kół i towarzystw w Związki, zakładanie domów polskich, zastępstw kulturalnych i ekonomicznych polskich zagranicą, biur prasowych i t. p.

e) Dział dyplomacji dotyczy pracy około łączenia i jednania ze sobą różnych stanów, zawodów i grup, utrzymywanie stałych stosunków z innymi narodami kulturalnymi, urządzanie międzynarodowych odwiedzin i narad.

f) Dział ekonomiczny obejmuje doniosłe sprawy zbierania podatku narodowego i zapisów na cele ogólne, nabywania i działkowania gruntów, popieranie racyonalnego osadnictwa polskiego, wszechstronnego podniesienia miast naszych, zachowania i wzmacniania polskiej cechy miast i wsi, opracowywania wzorowych projektów osad i mieszkań, popierania polskiego rolnictwa, handlu, przemysłu i rękodzieła; tworzenia burs rękodzielniczych i t. p.

g) Obrona prawna dotyczy narodowego stanu posiadania w dziedzinie kulturalnej i ekonomicznej, opracowywania wniosków, przepisów i praw w całym zakresie działania Towarzystwa.

h) Pouczanie. Zbieranie i porządkowanie faktów, dowodów lub innych szczegółów dotyczących naszych spraw, utrzymywanie biur informacyjnych i czasopism w celu pouczania świata o naszych pracach i dążeniach; prowadzenie statystyki i historji bieżącej całego narodu.

III. Streszczenie ustawy „Polskiej Ligi Narodowej".

Polska Liga Narodowa jest zjednoczeniem Polek i Polaków bez różnicy wyznania i przekonań politycznych do wspólnej pracy nad utrzymaniem i rozwojem kultury narodowej i bytu ekonomicznego ludności polskiej w obrębie Galicyi.

Ten cel zamierza Towarzystwo osiągnąć przez:

a) uświadamianie społeczeństwa polskiego co do jego obowiązków narodowych i pilnowanie, aby je członkowie gorliwie wypełniali;

b) urządzanie zebrań publicznych, wykładów i odczytów;

c) popieranie usiłowań, zmierzających do zaspokojenia potrzeb religijnych ludności polskiej;

d) popieranie polskich burs i ochronek;

e) popieranie działalności polskich Towarzystw szkół i czytelń ludowych;

f) wspieranie perjodycznych pism dla ludu i wydawnictw popularnych, lub wydawanie ich we własnym zarządzie;

g) inicjowanie i popieranie kształcących wycieczek do godnych zwiedzenia miejsc na ziemiach polskich;

h) zakładanie domów polskich w celu skupienia życia umysłowego i towarzyskiego ludności polskiej;

i) popieranie działalności polskich Towarzystw kredytowych, agrarnych, wytwórczych i handlowych;

j) organizowanie biur informacyjnych w zakresie życia umysłowego i ekonomicznego Polaków;

k) organizowanie biur bezpłatnej porady i ochrony prawnej dla Polaków;

l) zajmowanie się obchodami narodowymi;

m) zwoływanie wieców dotyczących oświaty, kultury i spraw ekonomicznych;

n) organizowanie kół miejscowych Towarzystwa;

o) utrzymywanie łączności między towarzystwami polskiemi;

Towarzystwo ma swą siedzibę we Lwowie, a członkiem jego może być każdy Polak i Polka, osoba prawna, i instytucja polska.

Wkładka członków założycieli wynosi jednorazowo 500 K, członków wspierających 60 K rocznie, członków zaś czynnych rocznie najmniej 2 K. (§ 7).

Pożądanem jest, by roczna wkładka, stanowiąca dobrowolny podatek narodowy, wynosiła $^{1}/_{500}$ część dochodu rocznego (2 korony od 1000 K) i ażeby każdy członek rodziny do niego się przyczyniał. (Uchwała I. Walnego Zgromadzenia).

Jeżeli w pewnej miejscowości jest co najmniej 30 członków Towarzystwa, to mogą zawiązać „Koło miejscowe", za zezwoleniem Zarządu głównego.

Koła miejscowe jako organa Ligi wspierają Zarząd główny Towarzystwa w urzeczywistnieniu dążeń Towarzystwa.

Koła wybierają Zarządy miejscowe z 3 — 5 osób i delegatów na „Wiec delegatów", który się odbywa w maju każdego roku we Lwowie.

Zarząd miejscowy stara się o jednanie członków, wnosi ich przyjęcie lub wykluczenie, odbiera wkładki, zbiera fundusze, a cały dochód odsyła co miesiąca Zarządowi głównemu, który kwartalnie z góry przesyła Kołom fundusze na ich wydatki.

Wiec delegatów wybiera centralne władze Towarzystwa a to:

1. Zarząd główny;
2. Wydział naczelny.

Zarząd główny składa się z 12 członków, z których co roku czterech ustępuje.

Wydział naczelny składa się z 30 członków, z których co roku trzecia część ustępuje.

Zarząd główny kieruje sprawami Towarzystwa, kontroluje czynności Kół miejscowych, uchwala regulaminy, mianuje mężów zaufania, tworzy dla pewnych spraw osobne komisje.

Naczelny Wydział kontroluje Zarząd główny, udziela mu wskazówek i czuwa nad działalnością Towarzystwa.

Tak Towarzystwo, jak i wszystkie Koła reprezentują na zewnątrz prezes i sekretarz Zarządu.

IV.

P. L. N. jest **„Związkiem Polskim"**, niezawisłym od stronnictw politycznych, stanowych lub wyznaniowych, dążącym do budzenia i utrzymywania świadomości narodowej, poczucia łączności i wspólności interesów wszystkich rodaków, Towarzystw i organizacji polskich, do wszechstronnego podniesienia dzielności, dobrobytu i prawdziwej kultury Narodu, zbierającym środki pieniężne na cele ogólno narodowe i spełniającym odpowiednio do sił i poparcia najważniejsze zadania programem swym określone.

Towarzystwo to działa w porozumieniu ze „Strażą Polską" w Krakowie i dlatego ogranicza swe działanie do Lwowa i Okręgu wschodniego naszego kraju

Rodacy, nie zapominajcie o tem, że w narodzie tak zagrożonym jak nasz, każda jednostka chętna do działania, każdy grosz na cele obrony naszego bytu poświęcony, ma swe znaczenie, pamiętajcie, że obojętność i ociąganie się szkodzi sprawie narodowej i zraża inne jednostki, chętne i zdatne do pracy — więc, nie czekając na wielkie, porywające czyny, wstępujcie wszyscy w nasze szeregi jako członkowie czynni, spełniając jako pierwszy swój obowiązek złożenie podatku narodowego na rzecz P. L. N., który dobrowolnie, odpowiednio do swego dochodu rocznego ustanowicie.

Roczny podatek narodowy na rzecz P. L. N. wynosić powinien około $^{1}/_{500}$ części dochodu, czyli 2 kor. od 1000 kor. Najniższa wkładka roczna 2 korony. Członkowie płacący 6 lub więcej koron otrzymają organ Towarzystwa *Straż Polską* bezpłatnie.

— Pocztowy rach. czekowy l. 114.853.

Do Członków Ligi!

Każdy członek Ligi powinien pozyskać dla naszego Towarzystwa jednego lub więcej nowych członków — wtedy szeregi nasze wzmogą się o tysiące świeżych zwolenników i staną się najcenniejszym, bo żywym i twórczym pomnikiem grunwaldzkim!

Do Komitetów i Delegatów Ligi!

Prosimy o samodzielne szerzenie idei przewodnich P. L. N. w swych okręgach i o nadsyłanie sprawozdań, wkładek zebranych i wniosków swoich wprost do Biura Ligi, (Lwów, Czarnieckiego 3).

Tamże są do nabycia pocztówki P. L. N. z „wezwaniami narodowemi". 30 kart za 1 kor.

Datki na fundusz budowy domu P. L. N. prosimy nadsyłać wprost do biura skarbnika we Lwowie. Na zawiązek tego funduszu przeznaczył Wydział Tow. kwotę **1000** koron.

Spis ludności. Wkrótce odbędzie się w naszym kraju spis ludności, przyczem liczni nasi wrogowie wszelkich używać będą środków, aby liczbę Polaków przedstawić mniejszą, niż jest w rzeczywistości. Zarząd główny P. L. N. wzywa więc wszystkich delegatów i członków do gorliwej działalności w swych okręgach, aby szerzyli uświadomienie narodowe polskie jak najdalej, aby czuwali sumiennie nad prawidłowem przeprowadzeniem spisu i nie dopuścili do żadnych strat narodu naszego w tej ważnej dziedzinie.

Jak działa Straż Polska?

Straż Polska w ciągu swego dwuletniego istnienia:

a) Urządziła 56 wieców w Krakowie i na prowincyi, na których poruszała sprawy: niebezpieczeństwa grożącego zagłębiu krakowskiemu, odniemczenia kolei, gwałtów pruskich, wychodźtwa sezonowego, Chełmszczyzny, bojkotu towarów obcych, popierania przemysłu ojczystego, i t d. Na wiecach tych przemawiali prof. dr. B Wicherkiewicz, prof. dr. Wł. Czerkawski, dr. Ignacy Wróbel, prof. dr. T. Grabowski, dr. Kazimierz Lubecki, radca K. Dębicki, prof. M Magiera, poseł Zieleniewski, dr. M. Danielak, red. K. Bartoszewicz itd

b) Urządziła kilka obchodów narodowych, między innemi pierwszy „wstępny" obchód grunwaldzki z kazaniem ks. biskupa Bandurskiego i olbrzymim wiecem na Wawelu.

c) W celu poparcia przemysłu narodowego i bojkotu towarów pruskich, oprócz urządzania wieców, wydawała Straż Polska kwestjonarjusze, drukowała plakaty (w 100 000 egz.), zwoływała narady (ankiety), dawała inicjatywę i pomoc przy założeniu kilku fabryk, rozsyłała setki komunikatów do dzienników krajowych, objęła kontrolę kilku sklepów, wydawała odezwy, organizowała kółka bojkotowe, działała między młodzieżą szkół średnich i t. d

d) Urządzała w swych Kołach zamiejscowych odczyty, przedstawienia i obchody narodowe.

e) Utrzymywała w porze letniej kolonię młodzieży polskiej z najdalszych kresów, nietylko w celu zapoznania jej z Krakowem i pamiątkami przeszłości, ale aby słuchała urządzanych dla niej wykładów historji i literatury polskiej, czego jej w obcych szkołach nie uczą

f) Urządziła kilka wycieczek z Galicyi do Warszawy, Królestwa Polskiego i na Litwę, aby budzić zamiłowanie do poznawania ziemi ojczystej. Myśl przez Straż podjęta i przeprowadzona, przyjęła się świetnie i zachęciła inne stowarzyszenia i instytucje do naśladowania Straży.

g) Stawała w obronie języka polskiego przez wiece i petycje, poruszyła sprawę odniemczenia kolei i miejscowości posiadających nazwy niemieckie, szerzyła słowem i drukiem zamiłowanie do przestrzegania czystości języka ojczystego, założyła w tym celu bezpłatne biuro korekty dla sprawozdań towarzystw, odezw i ogłoszeń kupieckich.

h) Dała inicjatywę do obchodu jubileuszu Słowackiego w Krakowie, zebrała pierwszy fundusz na jego pomnik i powołała do życia Komitet pomnikowy.

i) Organizowała i przyjmowała w Krakowie wycieczki włościańskie.

k) Pośredniczyła skutecznie w skierowaniu wychodźtwa sezonowego do Czech i Francji.

l) Zasiliła zebranym przez siebie funduszem gimnazjum realne polskie w Orłowej.

m) Walczyła przeciw tandetnym książkom i broszurom, któremi zarzucają nas firmy niemieckie i nieliczące się z opinją miejscowi wydawcy.

n) Wydała broszurę G. Smólskiego „Kolonje niemieckie w Galicji" i wspaniałe album: „Hołd Grunwaldowi".

o) Wydawała własny organ poświęcony wyłącznie sprawom narodowym. Współpracownikami jego byli i są najwybitniejsi pisarze różnych obozów, co najlepiej dowodzi, że jestto organ bezpartyjny, jedynie dobro ogólne mający na celu.

Oto krótkie sprawozdanie z działalności Straży Polskiej.

Ma ona jedyne zadanie i jedyną zarazem ambicję, aby powiększyła szeregi tych, co biorą udział w sypaniu szańców, mających zabezpieczyć nasz byt narodowy. Zwróciła zaś swą uwagę przedewszystkiem na ten materjał do budowy wału ochronnego, którego gromadzeniem najmniej się zajmujemy, a bez którego ów wał nie miałby dostatecznej siły i spoistości.

Kto kocha ziemię ojczystą i chce służyć narodowym ideałom, powinien wpisać się w szereg członków Straży Polskiej i popierać ją słowem i czynem.

Rozmaitości.

Obłęd szpiegowski czyli **hajże na królewiaków.** Przed zwykłym trybunałem w Brzeżanach odbyła się — jak donosi lwowski „Wiek Nowy" — rozprawa o szpiegostwo na rzecz obcego mocarstwa. Prokuratorya oskarżyła dwu uczniów akademii sztuk pięknych: Kazimierza Moszyńskiego i Józefa Szczęsnego, w Krakowie zamieszkałych. a pochodzących z Królestwa Polskiego, że ci, przebywając w lipcu r. b. na Podolu, w okolicach Bieniawy, sporządzali mapki tamtejszych okolic, które w ręku obcego mocarstwa stanowiłyby bardzo ważny i niebezpieczny dla Austryi moment sytuacyjny. Tak twierdzi akt oskarżenia. Dwu, Bogu ducha winnych studentów, chcących z okazji ferji wakacyjnych poznać stepy podolskie, aresztuje żandarmerya na podstawie doniesienia wójta, który zauważył u nich na stole mapki i obrazy i odstawia do więzienia śledczego w Brzeżanach. Nie pomogły zebrane o nich jaknajlepsze opinie z Krakowa, oraz znalezione przy nich szkice i obrazy, które tylko za ich aspiracjami estetycznemi przemawiały — obu zatrzymano w areszcie śledczym, w którym siedzą od lipca. Obecnie trybunał, po przeprowadzonej rozprawie, naturalnie uwolnił obu oskarżonych, ale prokura-

torja wniosła zażalenie nieważności i nieszczęśliwi królewiacy jeszcze przez dwa lub trzy miesiące siedzieć będą w wilgotnem więzieniu. Wobec takich rozmiarów krzywdy, jaka się dzieje obu studentom, sprawę tę trzeba chyba nazwać skandalem, skoro dwaj uczniowie akademii sztuk pięknych cel wycieczki naukowej okupić muszą półrocznem więzieniem, a jeden z nich może i życiem, bo wskutek wilgoci więziennej obłożnie zachorował.

Też patrjota. Pan Jerzy Kurnatowski w „Gazecie Kujawskiej" przeprowadza agitację religijną na rzecz marjawitów i kalwinów. Nie wiemy, czy kalwini mają być wdzięczni autorowi za podobne zbyt sąsiedzkie zestawienie. Ale zacznijmy od sekty mateczki Kozłowskiej.

„Dziś — Polacy są jedynym (?) narodem europejskim, którego większość pozostała wierną kościołowi katolickiemu. Stwierdzenie tej prawdy, poczucie że stoimy w ogonie cywilizacji i że sami jedni wiernie podtrzymujemy instytucję, wszędzie porzuconą — jest dla wolnomyśliciela polskiego czemś niesłychanie upokarzającem. Inteligentni cudzoziemcy, interesujący się Polską, uważają ją za kraj stracony, nie dlatego, że Polska jest w niewoli politycznej, lecz, że Polacy są w najgorszej niewoli, jaka istnieje, a mianowicie w duchowej wewnętrznej niewoli (?) katolickiej. I ta dziwna, a jednak tak nieśmiała reformacya polska (?) jaką jest marjawityzm, (!) obudziła duże zainteresowanie i zjednała sobie liczne sympatje (?!) W marjawityzmie ciemny chłop polski i nie mniej ciemny ksiądz katolicki, wykazali maximum odwagi, uczciwości i inteligencji, maximum.... na jakie ich było stać.

„Oczywiście tych ludzi ubogich duchem nie na wiele było stać, lecz ujawnili śmiało i uczciwie wszystko to, na co ich było stać. A to już duża zasługa. I gdy mnie dziś głęboko wierzący katolik, zrozpaczony rozpustą kleru katolickiego, pyta, co ma z sobą począć, gdy wiem, że wszelkie moje dowodzenia wolnomyślne odbijają się, jak od pancerza, od jego twardej czaszki — odpowiadam mu: „przechodź na marjawityzm, tam — przynajmniej — zrozumiesz mszę, bo ją odprawiają po polsku, a twoje pieniądze nie pójdą na wino i kobiety, lecz zostaną użyte na kościoły, na zbiorowe domy mieszkalne, na szkółki, ochronki, warstaty na zbiorowy zakup ziemi"

„W odpowiedzi na zbrodnię jasnogórską inteligencja polska powinna masowo przechodzić na kalwinizm. Oczywiście — inteligencją nazywam tu równie dobrze inteligentnego adwokata, albo doktora, jak inteligentnego włościanina lub robotnika. Żadna klasa nie ma monopolu na rozwój umysłowy. Należy zerwać z tą obłudną tradycją, która nakazuje nam nie wierzyć w domu, a posyła nas do kościoła na chrzest, ślub lub pogrzeb. Wszak księżom katolickim nie tyle chodzi o wiarę, ile o daniny i o pozory wiary. Tego im trzeba odmówić: a odmowa ta skutecznie uczyniona być może tylko w jeden sposób, a mianowicie przez przyjęcie kalwinizmu.

Przechodźmy na kalwinizm!"

Niedźwiedzią przysługę wyrządza kalwinizmowi p. Kurnatowski. Kalwini polscy nie spodziewali się iż znajdzie się publicysta, który będzie zalecał do wyboru i marjawityzm i kalwinizm.

Zasłużoną odprawę otrzymali niecni oszczercy ukraińscy w sprawie Żulińskiej, w mowie posła Dembowskiego: „.... Rzeczą jest pewną, że na szkołę naszą sprawa żulińska nie rzuciła plamy, jaką ją chciano powalać. Nauczyciel nie zabił dziecka, nie katował dzieci z powodu oporu przeciw nakazowi, aby się modliły po polsku! Jeżeli było wykroczenie przeciw karności szkolnej, to cel był godziwy — nie zaś niegodziwy i największego potępienia godny, jakiem byłoby przymuszanie dziecka do modlenia się nie w swojej mowie.

Polskie Muzeum Techniczne. Na Zjeździe techników przedłożył prof. Hauswald wniosek, by utworzono we Lwowie „Muzeum Techniczne", na wzór angielskiego „Kensington Museum", francuskiego „Musee des arts et metiers" i monachijskiego muzeum technicznego.

W zakładzie tym pomieszczanoby wszystkie wybitne prace i wynalazki techniczne w celu uczczenia zasług polskich pracowników i rozbudzenia zamiłowania, względnie zdolności do techniki w naszem społeczeństwie Zgłoszenia darów przyjmuje prof. Hauswald we Lwowie, Politechnika.

Obok tego poparł Zjazd Techników gorąco wniosek utworzenia „Polskiego Muzeum przyrodniczego" w Krakowie i wezwał wszystkich rodaków do zbierania okazów i innych materjałów dla tego nowego przybytku wiedzy i kultury.

Kronika „Straży Polskiej".

Wycieczka Akad. koła „Straży Polskiej do Sidziny w celu zwiedzenia fabryki zapałek odbyła się dnia 10 grudnia. Osób zwiedzających było piętnaście. Wycieczka zapoznała się dokładnie z produkcya zapałek, o której pisaliśmy już wyczerpująco w jednym z poprzednich numerów. Wielka i bardzo dobrze prosperująca fabryka nadzwyczaj korzystne wywarła wrażenie na uczestnikach. W dyskusyi po zwiedzeniu fabryki poruszono wiele aktualnych kwestyi, między innemi i szkody lokalne, jakieby wynikły z powodu zaprowadzenia monopolu zapałkowego.

Następnie organizuje „Koło" wycieczkę do fabryki witrażów p. S. G Żeleńskiego dnia 14 grudnia, oraz do niedawno założonej fabryki czekolady p. Piaseckiego.

Z Białej nadeszło żądanie do Zarządu gł. aby założyć Koło Straży Polskiej w tem mieście. Czyniąc zadość temu wezwaniu Zarząd gł. zamierza urządzić wiec w Białej, na którym po omówieniu bieżących spraw narodowych, nastąpi zawiązanie Koła.

Na ostatniem posiedzeniu Zarządu gł. Straży Polskiej dokonano wyboru czterech członków „Wydziału". Wybrani zostali ks. dr. Caputa, p. Habichtówna, prof. M. Magiera i p. Rozmarynowicz. Do Wydziału z urzędu należą: prezes, wiceprezes, sekretarz i skarbnik Zarządu głównego.

W lokalu „Straży" odbyło się pierwsze posiedzenie komitetu pomnikowego Juljusza Słowackiego.

W sali rady pow krakowskiej odbyło się walne zebranie Koła pań „Straży Polskiej". Sprawozdanie podamy w następnym numerze.

Koło włościańskie „Straży Polskiej" w Rybnej, urządziło d. 8 grudnia obchód Grunwaldzki. Pięknego programu uroczystości nie dało się dla pewnych względów w zupełności wykonać. Odłożono więc wmurowanie tablicy, poświęcenie jej uroczyste i nabożeństwo z kazaniem i musiano na razie poprzestać na wieczorku, którego doborowy i obfity program zgromadził tłumy ludu i sporą garść okolicznego duchowieństwa i inteligencji.

Oklaskiwano też z zapałem: odczyt dyr. Seudery, przemówienie sekretarza Koła męskiego p. Jul. Bartoszewicza, chór dzieci, dwu aktowy obr. scen. „Rycerze Jadwigi" djalog „w kaplicy" deklamacje i żywe obrazy. Amatorowie, zwłaszcza dziatwa wywiązała się ze swych ról bardzo dobrze. Nastrój uroczystości był podniosły, zebrany lud długo jeszcze po wykonaniu programu śpiewał pieśni narodowe.

Zarząd gł. Straży Polskiej otrzymał z kompetentnego źródła wiadomość, iż jest korzystne miejsce (posada) dla lekarza Polaka w Suchej Średniej na Śląsku cieszyńskim. Również w Błędowicach na Śląsku może aptekarz Polak założyć aptekę, o którą stara się Czech. Bliższych szczegółów udzieli na żądanie Zarząd główny (ul. Floryańska 1, od 3 do 6 popoł.).

Donosimy również, że w jednem z większych miast Galicyi zachodzi obawa, aby z powodu choroby właściciela, nie przeszła w obce ręce dobrze rentująca się księgarnia.

Od Administracyi.

Najniższa roczna wkładka członka „Straży Polskiej" wynosi 4 kor. rocznie.

Prenumerata pisma na r. 1911 wynosi 3 kor. Członkowie otrzymują nasze pismo po cenie zniżonej 2 kor. rocznie.

Dla członków i prenumeratorów zniżona jest cena prześlicznego albumu „Hołd Grunwaldowi" na 4 kor., z przesyłką 4 kor. 50 h. (w oprawie).

Statuty i sprawozdania „Straży Polskiej" wysyłamy na każde żądanie bezpłatnie.

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.